№ 1. Warszawa, dnia 21 Grudnia (2 Stycznia) 1874|5 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

NOWY ROK.

Nowy rok nadszedł — urodny młodzieniec
Który nas wita, ma siłę nieznaną,
Potęgę woli i dłoń spracowaną,
I zdrowiem życia kwitnący rumieniec;
On mówi do nas: od braci jam różny,
Nie niosę ludziom ni bogatych darów,
Ni woni pochlebstw, ni czczej złudy czarów,
Ni marzeń mglistych, ni rozkoszy próżnej,
Pracę przynoszę. Przez nią na mogile
Przebrzmiałej buty uprzedzeń kastowych,
Ludzkość w pierwiastkach odrodzi się zdrowych,
I życiem czynu w nowej wzrośnie sile.

Dziś więc, gdy w świętą łaski niebios rosę
Mienią się potu prac ludzkich kropelki,
Do Was rodzinnych skarbów dzierżycielki
Niewiasty nasze, wezwanie me niosę,
Wyście potężne bo wpływem swym czystym
Wzbudzacie miłość, nadzieję i wiarę;
Przez Was na dziatki cnoty Ojców stare
Płyną w uścisku pieszczot macierzystym,
Słaba dłoń wasza kierując z miłością
Niepewnym krokiem wątłego dziecięcia,
Jest ową siłą, która w ich pojęcia
Wlewa cześć cnoty długich lat przyszłością.
Pracy nam trzeba — więc znoju zadatek,
Źdźbło, kiełkujące życiem odrodzenia,
Jako plon w nowe wszczepcie pokolenia,
Z pierwszem rozwiciem wzrastających dziatek.
Pracy nam trzeba — więc przykładem trudów,
Słowem zachęty, cnót rodzinnych wpływem,
Sprawcie by ona faktem bytu żywym
Wrosła się jędrnie w obyczaje ludów.
Pracy nam trzeba — więc w chatkę kmiotkową,
Dworek szlachecki, pałace bogaczy,
Wszędzie gdzie ludzkość byt swój życiem znaczy
Idźcie, by w czyny rozrosło się słowo.
Niech Waszą sprawą wiekowe narowy
Próżniactwa, znikną na zawsze bez śladów,
Niech dzieci z matek wzór biorą przykładów,
Niech erę szczęścia rozpocznie Rok Nowy!

Ludwik Niemojowski.

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

Jest że chwila uroczystsza dla kobiety, nad te w której po raz pierwszy słyszy głos swego dziecięcia, w której pochylona nad jego kolebką patrząc w to uśpione oblicze na którem uśmiech igra, gdy śni o pokrewnych mu aniołkach, jak twierdzi wiara ludowa, duma o jego przyszłości? Przed jej myślą stają jedna po drugiej, wszystkie ważne chwile życia ludzkiego, a ona zbadać się stara czy losy sprzyjać mu w nich będą, czy będą mu wrogie i wciągając w rachubę wiadome jej prawdopodobne przynajmniej okoliczności, mające życiu jego towarzyszyć, odgadnąć nic nie zdoła, tylko się trwoży. Trwoży ją wątłość tej drobniuchnej istoty, trwoży trudna walka o byt jeżeli w ubogiej złożyła je kolebce, trwożą pokusy bogactwa gdy go jedwabiem okryła. Przyszłości jego odgadnąć nie zdoła pomimo wysileń uczucia, bo gdyby nawet mogła obliczyć wypadki przyszłe, nie zna jeszcze darów jakie to jej dziecię z sobą przyniosło i gdyby nawet wiedziała jaka walka je czeka, nie wie jaki do walki tu stanął zapaśnik.

Lecz w chwili w której o odgadnieniu jego przyszłości zwątpiła budzi się w jej sercu nowa trwoga i nowa nadzieja. Ona to zbroić go będzie do tej walki, w jej ręku to źdźbło wątłe w roślinę owocodajną ma się zamienić, ona pierwsza spostrzeże obudzenie tego dotąd nieświadomego ducha, pod jej tchnieniem rozwijać on będzie swe skrzydła, z jej ust usłyszy pierwsze słowo wiary i miłości, ona pierwsza powie mu o jego przeznaczeniu i w jego imieniu wezwie do życia obowiązku, wymoże pierwsze wysilenie.

Odtąd marzenia jej u kolebki nie będą już mgliste i niekształtne, znalazły cel i granice. Powołana do wychowania człowieka, duma nad jego przeznaczeniem, szuka środków spełnienia tego zadania. Nie bez trudu jej to przychodzi: dotąd nie zastanawiała się nad tym przedmiotem, zaledwie pamięta jak ją wychowywano, a jej wspomnienia nie sięgają lat pierwszego dzieciństwa. Wśród nielicznych dzieł składających księgozbiorki rodzinne, nie zawsze się znajdują dzieła o wychowaniu: w katalogach napotyka się ich wiele i wybór trudny i najczęściej pierwsze dziecię ma już lat kilka, a młoda matka nie wie właściwie jak je ma wychowywać. Kocha je, ubóstwia, dogadza mu, pieści się z niem i dopiero się ocuca z tego szału miłości, najpiękniejszej na świecie, gdy jej niedoświadczenie i nierozwaga już rozwinęły w dziecięciu złe skłonności, wady z któremi boleśną przyjdzie jej staczać walkę. Młodym matkom pochylonem nad kolebką pierwszej dzieciny przesyłam tych kilka myśli o wychowaniu, może będą karmą dla ich dumań, czasem wskazówką i przestrogą!

I.

Nigdy dość wcześnie młoda matko nie zdołasz rozmyślać nad czekającem cię zadaniem; rok zaledwie możesz się lubować twą dziecinną żałując tylko że jej usta nie mogą wypowiedzieć tych tajemnic miłości i szczęścia które czytasz w jego oczętach. Jeszcze nie doczekałaś się pierwszego z ust tych wyrazu, a już dziecię objawiło swą niechęć lub wolę i już zaczyna się twe zadanie, zadanie wychowania trudne, nawet dla

miłości twojej nie cofającej się, nie wzdrygającej przed niczem.

Trudne, bo miłość twoja pragnęłaby oszczędzić dziecięciu cierpień wszelkich, cieszyć się niem, pieścić, mieć je dla siebie, tylko dla siebie, a jednak głos rozsądku mówi ci, że ono nie jest własnością twoją, że to istota powierzona ci tylko, a powołana do wyższych przeznaczeń, a twem zadaniem przygotować ją do jej powołania szczytnego, zadając jej gwałt nieraz, przysparzając cierpienia, nie zważając na łzy jej i prośby, lecz wiodąc ją niestrudzenie drogą obowiązku, stosownie do woli Bożej.

Strudzona bezsennemi nocami siedząc przy kolebce, w otaczającem ją pół mroku, marzyłaś pewnie, wpół we śnie a wpół na jawie, że to dziecię leżące spowite obok ciebie, zrzuca wiążące je powijaki, urasta w młodzieńca, w męża i staje przed tobą, takim, jakim go mieć pragniesz, takim jakim sobie wyobrażasz ideał człowieka, ideał któren z wiarą nieraz zawiedzioną upatrywałaś w bracie, w narzeczonym, a teraz po raz ostatni, lecz z wiarą zawziętszą że tak powiem, upatrujesz w dziecinie twojej.

Ale matko uśmiechająca się rozkosznie do tego tworu twej wyobraźni, myślałażeś ty kiedy o przeznaczeniu człowieka, ty powołana do wychowywania ludzi? Nieraz dziewczę najcnotliwsze spełnia wszystkie swe powinności, żoną, matką zostanie, nie zastanowiwszy się nad pobudką swych czynów, nie zdawszy sobie sprawy z tego zagadnienia. Dłużej nie wolno ci zostawać w tej nieświadomości: pierwsza powiesz dziecku o jego przeznaczeniu, przez lat wiele wychowaniem uspasabiać je doń będziesz a jakże to uczynisz, jak temu sprostasz nie znając dokładnie celu twej pracy, celu jego życia i twego?

Gdy się sama siebie o to zapytasz, odpowiedzi nie szukaj w mądrych księgach któreby ci ją dały zawiłe, sprzeczne nie raz, otwórz katechizm i przeczytaj w nim odpowiedź na pytanie twoje: „Na co Bóg stworzył człowieka?“ Odczytaj te słowa, zastanów się nad niemi, bo to słowa pełne głębokiej a prostej mądrości.

Człowiek podobnie jak każde stworzenie ma swoje zadanie do spełnienia na tej ziemi: ale gdy inne stworzenia nieświadomie je spełniają, gdy ich ciała i instynkt tego są rodzaju, iż tylko to a nie inne spełnić mogą, człowiek swoje zdolności i siły zużyć może jak mu się podoba, bo on wolną obdarzon wolą, stosownie do prawa Bożego. Nie dość jest dla człowieka czuć cześć i miłość ku Bogu, wyrażać je słowy, w modlitwie, on czynami wyrażać ją musi w ciągu życia całego. Czcić Boga na tej ziemi, to spełniać na niej wedle sił swoich swe obowiązki względem siebie, rodziny, społeczeństwa, ludzkości, spełniać je z coraz większą miłością, gorliwością i umiejętnością, bo przez czujność i ćwiczenie doskonalimy wszystkie władze naszego ducha, krzepimy wolę, lepiej pojmujemy prawo Boże, potężniejsi stajemy do walki z namiętnościami i słabościami naszemi.

Taki cel twego życia matko, do takiego masz dziecię twe wychować, ku niemu dążąc zbierzecie po drodze przeznaczone wam szczęścia okruchy, przyczynicie się w miarę sił waszych do szczęścia i doskonałości społeczeństwa w którem żyjecie; boć życie społeczeństw, ich rozwój i upadek, również jak szczęście i niedola jednostek, zależą niemal zupełnie od ich wysileń i zasług lub ich omyłek, występków, upadków!

Odwieczny to pogląd na życie człowieka, ale gdy rzecz niezmienna, możeż słuszny nań pogląd się zmienić? To też gdybyśmy wertowali tysiące foliałów we wszystkich znajdziemy treść tę samą, choć innemi wyrażoną słowy, albo fałsz szkodliwy. Takim są teorye materyalistów których celem jedynym użycie doczesne: takim zdanie pozytywistów twierdzących, iż człowiek obrany z wolnej woli, nie odpowiedzialnym jest za swe czyny, a losy jego i ludzkości rozwijają się i następują po sobie, jak dzień po nocy bez jego udziału: takim nauka szkoły utylitarnej uznającej w idei pożytku dostateczny bodziec dla ludzkiej działalności!

Szukanie wyłączne materyalnego użycia, wiara w nieodpowiedzialność ludzką, mierzenie czynów miarą pożytku, prowadzi do uwolnienia człowieka od wszelkich obowiązków, wyzwala go z pod praw wszelkich, zostawia go na pastwę samolubstwa i namiętności rozkiełznanych. Wyobraźmy sobie przez chwilę, że zapomniano prawd odwiecznych Chrześcijaństwa lub je rozmyślnie odrzucono, i przenieśmy się myślą do społeczeństwa temi nowemi teoryami się rządzącego. Niestety, znajdziemy się wśród strasznego bo oświeconego barbarzyństwa. W nim walka bez przerwy byłaby życiem jednostek i społeczeństw, siła ich prawem; tam każdy goniąc za własnym jeno pożytkiem deptałby słabszych, sam przed silniejszemi upadał. Bo pożytek i szczęście jednostek, o tyle tylko jest pożytkiem i szczęściem ogółu, o ile zamknięte są we właściwych granicach, uczuciem sprawiedliwości szanującem prawa bliźniego; o ile wiedzione uczuciem czynnej miłości spływają nań w należytym udziale.

Dziś nawet jeśli spostrzegamy w życiu rodzinnem i społecznem niemoce ogólne, nie wypływające z wrodzonej człowieka słabości, lecz wyłączną noszące cechę obecnej chwili, nie należyż je przypisać mylnem wyobrażeniom o powołaniu człowieka, gonieniu gorączkowemu za użyciem i szczęściem nie zasłużonem i niezdobytem, pytaniu wciąż o prawa swoje nie pomnąc, że prawo każde wkłada na używającego go pewien obowiązek.

Sądzę że cię matko młoda nie uwiodą szumne nieraz na pozór uczone lub wiele obiecujące teorye: zostaniesz przy dawnych zasadach chrześcijańskich, pragnąc szczęścia twych dzieci, lecz szczęścia nie okupionego ich poniżeniem, ani krzywdą cudzą, rosnącego w miarę ich zasług i udoskonalenia. Jeśli już tak pojęłaś przeznaczenie człowieka, pozostaje ci jeszcze poznać potrzebę główną chwili, w której dziecię twe żyć będzie. Działalność ludzka zawsze obejmowała rodzinę i społeczeństwo, zawsze oddziaływała na ludzkość choć nieraz bezwiednie, lecz w każdym okresie dziejowym w innych znajdowała się warunkach, inne przybierała kształty. Były czasy w których urodzenie człowieka powoływało go do wielkich przeznaczeń, lub skazywało na nędzne rośliinkowanie! Były czasy w których pewne tylko zajęcia zaszczytnemi były, inne jakkolwiek używano ich dobrodziejstw upokarzały tego kto się im oddawał. Minęły już te czasy! Dziś urodzenie nie stanowi o losach człowieka, dziś każda praca szanowana, każda siła każda zdolność zużyta być może. Jedna tylko rzecz hańbi i poniża: nicość: używanie darów Bożych, dobrodziejstw życia społecznego samolubnie, nie wypłacając się za nie zasługą i pracą, zużywanie ich występne, lub występne zdobywanie.

(d. c. n).

STRACONY,

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA).

NOWELLA

Elizy Orzeszkowej.

Pewnego dnia opuszczałem wielką budowę w której mieszczą się Sądy Cywilne i Kryminalne, gdy w ostatniej sali spotkałem się oko w oko z jednym z sędziów mającym się także ku odejściu.

— Jakże się cieszę że pana spotykam, zawołał ujrzawszy mię poważny dygnitarz. Dziś właśnie przesłaliśmy panu urzędowe pismo, ale rad jestem że o treści jego osobiście pomówić z panem mogę.

— Czem rozkażecie mi panowie służyć sobie?

— Rozkazywać nie mamy prawa ale prosiliśmy pana abyś chciał podjąć się obrony pewnego młodego przestępcy, względem którego prokurator formułuje podobno wielce srogie wnioski. Będzie to jak się zdaje kategorya najwyższa... ciężkie prace czy cóś podobnego... musimy dać mu obrońcę; prezes pomyślał o panu. Skłoniłem się przyzwalająco.

— W tych dniach, rzekłem, mam nawet wolnego czasu więcej niż zwykle.

— A więc wybornie się składa, rzekł urzędnik, wydamy wnet kancellaryi rozporządzenie, aby akta odnoszące się sprawy młodego Kalińskiego jutro, danemi zostały panu do przejrzenia.

Nazwisko wymówione przez urzędnika uderzyło mię; należało ono do jednej z najbogatszych, najstarszych i najbardziej rozgałęzionych rodzin szlacheckich w prowincyi naszej.

Dwóch ludzi nazwisko to noszących znałem nawet osobiście, jednym z nich był pięćdziesięcioletni Jan Kaliński, majętny obywatel wiejski pozujący nieco na arystokratę, z tem wszystkiem jednak doskonale uczciwy i dość oświecony; drugim syn jego dorosły, piękny, gruntownie wykształcony i bardzo sympatyczny młody człowiek. Zasłyszałem też był mimochodem o bracie Jana, Maurycym Kalińskim, który przecież w mieście nie ukazywał się nigdy i o którym nic nie mówiono więcej jak tylko, że jest zawołanym myśliwym i że ma kilkoro dzieci. W ogóle była to rodzina obdarzona wszelkiemi dobrami tego świata: wysokiem i szerokiem drzewem genealogicznem, szerokiemi i świetnemi stosunkami i dobrą sławą. Nie przypuszczałem też aby kryminalista którego prawną obronę pieczy mej powierzono, był człowiekiem tej właśnie rodziny, sądziłem że jest to raczej prosta tylko a dość często bez żadnych związków krwi zdarzająca się tożsamość nazwiska.

Jakże zdziwiłem się gdy nazajutrz rozwijając spory zwój urzędowych aktów, na pierwszym zaraz arkuszu wyczytałem; Roman syn Maurycego i Elżbiety z Dębiczów Kaliński. Tuż obok nazwisk tych stała cyfra oznaczająca wiek przestępcy. Miał lat 19-ie i trzy miesiące. Był to więc syn owego zagorzałego myśliwca którego psiarnie i konie wierzchowe słynęły na całą prowincyę, synowiec wytwornego i pełnego uczucia honoru pana Jana, brat stryjeczny młodego Józefa, który w tym właśnie czasie wznosił w majątku swym wielce pożyteczny przemysłowy zakład, członek słowem rodziny wysokie miejsce zajmującej w społeczeństwie. Kim więc był ów młody Roman? co uczynił? jakim sposobem imię jego z szeregu szanowanych i szczęśliwych spadło na kartę gdzie wypisywano kategoryą przestępstw najsroższych i kar najwyższych?....

Przez parę godzin siedziałem dosłownie zagrzebany w leżących przede mną papierach. Nigdy może z taką ciekawością nie czytałem powierzonej mi sprawy.

Skończywszy czytanie ostatniego arkusza porwałem się z krzesła i mimowoli zawołałem. Dziwna rzecz! dziwna rzecz!

Młody Kaliński obwiniony był o zabicie przez uderzenie w głowę laską o żelaznym nagłowku, jednego ze znanych powszechnie mało miasteczkowych karczemnych szulerów. Fakt dokonanym został w małej mieścinie, śród nocy, w wielce podejrzanym przez policyę handlu trunkami. Obwiniony odpierał dotąd oskarżenie do niczego się nie przyznając, ale dowody winy jego były zupełne i przekonywające. Pomiędzy nim a szulerem zaszła w izbie w której znajdowa-

li się oni sam na sam żywa i głośna sprzeczka. Właścicielka zakładu i goście jej bawiący się w przyległej izbie butelką i grą w bilard, sprowadzeni hałasem na miejsce kłótni znaleźli towarzysza swego bez życia leżącego na ziemi, Kaliński przed wejściem ich wybiegł na ulicę.

Z rany zadanej zabitemu trysnęła krew i zrosiła stół i podłogę w izbie. Na rękawie surduta obwinionego, znaleziono też plamy które powołani ku temu eksperci objawili jako pochodzące od krwi.

Tuż przy zwłokach zabitego znaleziono pugilaresik z wyżłobioną na skórze cyfrą Kalińskiego, uroniony przezeń zapewne w zapale sporu. Obwiniony nakoniec pomimo uporczywego twierdzenia, że w chwili dokonanej zbrodni nie znajdował się już na miejscu jej dokonania, dowieść nie mógł swego alibi a stróż nocny pod przysięgą zeznał, iż widział go wybiegającego z handlu i nieprzytomnie przebiegającego zaułek na parę sekund zaledwie przed chwilą, w której w handlu podniósł się hałas obudzony widokiem człowieka życia pozbawionego.

Cel zabójstwa zdawał się być jasnym i widocznym i zarazem wprowadzał czyn dopełniony w kategoryę przestępstw najsrożej przez prawo karanych. Celem tym musiała być chęć odebrania szulerowi kilkunastu rubli, które widziano u niego na kwandrans przed zaszłym wypadkiem a przy zwłokach nie znaleziono. Takąż ilość pieniędzy rewizya następnego ranka dokonana znalazła w kieszeni ubrania obwinionego. Obwiniony utrzymywał, że pieniądze te posiadał w zamian złotego medalijonu przed dwoma dniami sprzedanego przezeń niejakiej wdowie Dzięcierskiej. Otrzymawszy od władz stosowne zapytanie Dzięcierska urzędownie oświadczyła, iż medaljonu ani żadnego innego cennego przedmiotu od obwinionego nie nabywała i dla czegoby w obecnym wypadku odwoływał się do niej wcale nie pojmuje. Innego źródła pochodzenia będących w mowie pieniędzy obwiniony wskazać nie mógł czy nie chciał, uporczywie trwając przy historyi o medalijonie, która w obec zaparcia się mniemanej nabywczyni przybierała pozór kłamstwa i wykrętu. Cokolwiek bądź głęboko zanotowałem sobie w pamięci owe zeznanie Kalińskiego, które kłamliwem na pozór tylko być mogło i długo zastanawiałem się nad przeczącem oświadczeniem owej Dzięcierskiej, wydającej mi się w całem toku sprawy osobą wielce podejrzanej uczciwości i nie zupełnie na wiarę zasługującą.

Tak w głównych zarysach swych przedstawiała się sprawa ta, która z powodu pochodzenia i społecznego położenia sprawcy swego, napełniła mię głębokim zdumieniem. Samo już znajdowanie się członka rodziny Kalińskich w miejscu zostającem na indeksie policyi było nieco dziwnem: młodzi panowie bowiem z tej sfery towarzyskiej pochodzący do jakiej należał nowy mój klijent, jeżeli błądzą nieraz i srodze nawet, zwykli są przecież błędy swe okrywać pozorami przyzwoitości nakazanemi nie tylko przez pewną dumę łączącą się z ich pochodzeniem, ale przez samo już poczucie dobrego smaku zaczerpnięte ze wszystkiego co otacza ich od kolebki. Zabawy ich bywają bardzo często występne ale bardzo rzadko brudne. Obyczajami swemi każą oni salony ale obecnością swą zaszczycać nie lubią ulicy. Przypuszczając jednak pewne wyjątkowe okoliczności, mogłem jeszcze jako tako wytłómaczyć sobie to zstąpienie wysoko urodzonego szlachcica w otchłań, na dnie której szumią brudne uciechy mętów i wyrzutków społeczeństwa: ale jakież wytłómaczenie znaleść mógł fakt dokonania zabójstwa przez syna bogatych rodziców, na nędzarzu żyjącym z oszustwa, w celu odebrania od niego nędznych kilkunastu rubli?

A jednak mimo uporczywego zapierania się obwinionego fakt jasny był jak dzień; wątpić o prawdziwości winy nie mogłem, pozostawało mi tylko widzieć się osobiście z występnym i z własnych ust jego, z dziejów tak krótkiego a tak już niestety, steranego jego życia zaczerpnąć szczegółów wyjaśniających to, co dla mnie samego niezrozumiałem pozostało a zarazem mogących mi dostarczyć tych poglądów na sprawę, z których wyradzają się okoliczności winę umniejszające i karę za nią łagodzące. Czułem że okoliczności takie istnieć musiały w niemałej liczbie; niepodobna było bowiem tak brzydkiej zbrodni przypisać samym tylko złym skłonnościom, samemu zepsuciu charakteru 19-o letniego młodzieńca. Byłaby to w podobnym razie jakaś potworność moralna, wiarę zaś w częste istnienia potworności moralnych pomiędzy ludźmi, osłabiły we mnie znacznie doświadczenia i studya z zawodem mym połączone.

Potworności istnieją bezsprzecznie ale rzadko bardzo, matką ich bywa sama przyroda; są one najczęściej skutkiem przyczyn leżących głęboko w przeszłości człowieka, zwolna i stopniowo pętających umysł jego, w obłęd wprawiających sumienie. Każde prawie zło znajduje wytłómaczenie swe i źródło w czemś co je poprzedziło a co także było złem. Jak z niezdrowego gruntu wyrastają karłowate i chore rośliny tak chore i kalekie duchy ludzkie powstają śród niskich i niezdrowych trzęsawisk moralnych. Alež znowu, sądząc według prawdopodobieństwa wszelkiego, grunt na jakim wzrosł i rozwinął się duch młodego Kalińskiego, nie musiał karmić go trującemi sokami. W tej też sprzeczności drzewa z owocem i gruntu z rośliną, leżało główne, psychiczne zagadnienie sprawy, zagadnienie które zajmowało całą myśl moją przez cała dobę a w połowie mrocznego dnia jesiennego, przywiodło mię ku bramie miejscowego więzienia.

Nie pierwszy to raz przestępowałem próg posępnej budowy dokoła opasanej wysokim murem.

Ciężkie, wielkie, w żelazne rygle i sztaby zaopatrzone drzwi, wprowadzały tam wchodzącego do ciemnej sklepionej bramy, za którą znajdował się wązki, długi brukowany dziedziniec z czterech stron otoczony kamiennemi gmachami o trzech rzędach małych okratowanych okienek. Miejsce to podobnem było do olbrzymiej studni, na dnie której stojący człowiek spostrzegać mógł w górze wąski pas nieba i długie szeregi sterczących nad dachami popielatych kominów. Naprzeciw bramy wchodowej znajdowała się inna mniejsza tylko i niższa brama, a za nią widniało z oddalenia małe kwadratowe podwórko tak już ściśnione murami że w najjaśniejszy dzień pogrążonem zostawało w głębokim zmroku. Dokoła drugiego tego podwórka były cele, w których zamykano więźniów wyrokami sądowemi wskazanych już na najcięższe kary. Oznajmiłem dozorcy więzienia że przyszedłem dla widzienia się z Romanem Kalińskim.

— W tej chwili jest on nieobecnym, odpowiedział dozorca, wypadła mu dziś kolej przynoszenia obiadu dla więźniów. Ponieważ jednak kuchnia znajduje się tuż obok w zaułku, sądzę że wnet wróci. Zechcesz pan może tymczasem wejść do parlatorium?

Wolałem zatrzymać się w bramie, chociaż bowiem powietrze i tu było zduszone i cuchnące, łatwiej jednak mogłem oddychać niż w wilgotnem, ciemnem i zakurzonem parlatoryum. Przytem na dziedzińcu znajdowali się właśnie w tej chwili oczekujący na codzienną żywność więźniowie. Powiodłem spojrzeniem po tych chmurnych lub cynicznych, znędzniałych lub grubych i gęsto splątanemi włosami zarośniętych twarzach i zamyśliłem się tak głęboko, żem nie słyszał jak otworzyły się za mną drzwi więzienia.

— Oto więzień z którym pan życzysz sobie mówić, rzekł dozorca.

Oparłem się plecami o ścianę bramy aby nie zawadzać idącym i spojrzałem ku drzwiom. Zamykano je właśnie za kilku żołnierzami, którzy szli uzbrojeni w karabiny i sterczące bagnety. Kilku innych również uzbrojonych postępowało przodem, pośrodku szli ludzie w szarych więziennych siermięgach, dźwigając na ramionach długie i grube drągi z zawieszonemi na nich wielkiemi statkami pełnemi dymiącej się strawy. Z łatwością domyśliłem się który z ludzi tych był Kalińskim. Najmłodszy ze wszystkich miał on też twarz najbielszą, rysy najdelikatniejsze i najwysmuklejsze kształty ciała.

U wejścia z bramy na dziedziniec, towarzysz młodego więźnia niosący drugi koniec dźwiganego przezeń drąga, ze zmęczenia lub może lenistwa ugiął zbytecznie w dół ramię i zwolnił kroku.

— Hej przyjacielu! nie odwracając głowy, zawołał Kaliński; wyprostuj no się i żywo naprzód. Nie mogę cię przecież wziąść na moje plecy!

Głos jakim słowa te wymówione zostały był świeży i donośny. Dźwięk jego nie ledwie srebrzysty brzmiał na wpół rozkazująco, na wpół swawolnie i pieszczotliwie. Stary brodacz który przedtem zginał się prawie we dwoje i zaczynał z ciężkością powłóczyć nogami, wyprostował się szybko i począł iść pewnym i równym krokiem. Pośrodku dziedzińca więźniowie zatrzymali się i spuścili ciężary swe z ramion na ziemię, żołnierze ustąpili na bok a ludność więzienna z glinianemi miskami, drewnianemi łyżkami przybliżyła się do dymiących kotłów.

— Zawołam teraz Kalińskiego, rzekł do mnie dozorca..

Chciał postąpić naprzód ale zatrzymałem go.

— Niech zje wprzódy obiad, rzekłem, mogę zaczekać.

W rzeczy samej chciałem z boku i niepostrzeżony przypatrzeć się młodemu więźniowi, gwarna przytem i tłumna scena odbywająca się na dziedzińcu więziennym, wzbudziła we mnie zajęcie i chęć czynienia spostrzeżeń. Dozorca który znał mię oddawna i szanował charakter w jakim przybywałem w to miejsce, nie sprzeciwiał się memu żądaniu.

Usiedliśmy obaj na drewnianej ławie w głębi bramy umieszczonej, a przeznaczonej na miejsce spoczynku dla żołnierzy posterunek odbywających.

W koło stojących pośrodku dziedzińca kotłów zapanował ścisk wielki, rozległy się grube żarty i śmiechy połączone z krzykami złości. Ustawieni pod ścianami żołnierze uważnemi oczami ścigali poruszenia grubego tego i hałaśliwego tłumu, nie wdając się jeszcze w sprawy jego ale widocznie gotowi do postąpienia naprzód i przywrócenia porządku jeśliby zaszła tego potrzeba. Tymczasem, mężczyzni o twarzach obrosłych splątanym włosem lub żółtych, ciemnych i kościstych, kobiety w pstrej i brudnej odzieży, z nabrzękłemi policzkami i głowami owiniętemi w brudne szmaty, cisnęli się do upragnionego snać pożywienia, popychali, tłoczyli jedni drugich, wydawali z piersi rubaszne śmiechy lub złorzeczenia topiące się w głuchem tłumionem warczeniu. Miski przecież w rękach więźniów, pozostawały puste; wśród natłoku i kłótni wszyscy przeszkadzali sobie wzajem w czerpaniu strawy. Trwało tak parę minut. Nagle po nad bezwładnym gwarem grubych, ochrypłych lub piskliwych głosów, rozległ się ten sam głos donośny, srebrzysty, na wpół rozkazujący, na wpół żartobliwy który przedtem nieco, w bramie więziennej rozkazywał leniwemu więźniowi wyprostować się i iść naprzód. Młody Kaliński przecisnął się przez tłum stanął tuż obok kotłów i podniósł wysoko rękę.

— Halt! zawołał, szykujcie się bracia a żywo! raz dwa, trzy! w szeregi! naokoło kotłów, jeden za drugim! tak! tak! Ty brodaty Grzegorzu! po co się tak ciśniesz! a ty Magdaleno usuń się bo cię tu zduszą! Hej! stójcie teraz wszyscy i ani mi się ruszyć póki nie zawołam!

Jerzy ty zaczynaj! Pełną już miskę masz? dobrze! A teraz my Grzegorzu! Wasylu! Magdaleno! Justyno! Możecie przystępować we dwóch, we trzech ale pokolei, cicho, grzecznie i porządnie!

Patrzałem i słuchałem ze zdziwieniem. Głos i giesty młodego człowieka magiczny wpływ wywierały na tłum ten gruby i niesforny. Ludzie ci z posępną lub bezmyślną, cyniczną lub zrozpaczoną powierzchownością słuchali go jak dzieci, według rozkazu jego szykowali się w szeregi, przystępowali do kotłów i czerpali z nich strawę nie prędzej aż każdego z nich zawołał po imieniu. On zaś znając widocznie nietylko imiona ich ale i usposobienia, brzmienie głosu swego do tych ostatnich stosował. Niektóre z imion więźniów wymawiał łagodnie i przyjacielsko, inne z rubaszną żartobliwością, inne nakoniec surowo i twardo. Fizyonomija jego takimże samym jak głos ulegała zmianom. Po ustach jego przebiegł uśmiech to żartobliwy i niemal swawolny, to życzliwy i jakby litośny ale były także chwile, w których cienko zarysowane brwi młodego więźnia zsuwały się gniewnie i nakazująco, a oczy jego wlepione w twarz chcącego opierać się towarzysza nabierały połysków stali, wyrazu uporczywej i pewnej siebie siły. Kiedy wszystkie miski napełnionemi już zostały, Kaliński podniósł znowu rękę.

— Teraz, zawołał, siadać! jedni za drugimi naokoło kotłów! tak!

Usiedli we dwa rzędy każdy że swoją misą i łyżką tworząc tym sposobem wielkie ściśle zwarte koło.

Kaliński został przez chwilę w stojącej postawie, próżna jedna misa stała u stóp jego na kamieniu, on zaś skrzyżował ręce na piersi i powolne spojrzenie toczył po głowach siedzących na ziemi ludzi. Teraz dopiero gdy stał tak milczący i odosobniony, po raz pierwszy ogarnąć mogłem wzrokiem w zupełności postać jego i twarz. Wzrost jego był więcej niż średnim, kształty jego ciała delikatne i doskonale harmonijne objawiały przecież niepospolitą fizyczną siłę i sprężystość. Pierś miał szeroką, ramiona dobrze rozwinięte, rękę białą i bardzo kształtną ale muskularną i dość dużą. Wprzódy już gdy zdjął szarą sukienną czapkę w jakiej był wszedł z ulicy do więzienia, bujne i długie pierścienie włosów kasztanowatego koloru, osypały mu białe pięknie zarysowane czoło i w obfitych zwojach opadły na gibką i delikatną, z za grubej siermięgi wydobywającą się szyję. Oczy jego w podłużnej osadzone oprawie, ciemno szaremi źrenicami niby odłamami błyszczącej stali, świeciły z pod wydętej znacznie nad niemi, wąską i ciemną liniją brwi zarysowanej, kości czołowej.

Na ściągłych zaś policzkach z za żółtawej bladości zdradzającej dość już długi pobyt w więzieniu, przemocą jakby przebijał się rumieniec młodości a cienką wargę porastał ciemny, gęsty puch zaledwie wykluwającego się wąsa. Pomiędzy grubemi bezkształtnemi postaciami jakie go otaczały, na tle brudnego dziedzińca i posępnych otaczających go murów, piękny chłopak ten wyglądał jak promień słońca wśród głębokich ciemności lub młody i zdrowy dąbczak wśród karłowatej, kalekiej choiny. Siermięga nawet więzienna ten brzydki i bez foremny ubiór nie szpeciła go bynajmniej, czy umiał wdziewać ją i nosić inaczej jak inni, czy kształty ciała jego były tak doskonale pięknemi że żadna odzież zeszpecić ich nie mogła, ale patrząc na niego można by rzec, iż kawał ten szarego grubego sukna włożył on na siebie przez żart lub swawolę chłopięcą, i tak ubrany przyszedł w to miejsce strachu i utrapień na chwilę tylko, aby potem udać się znowu tam, kędy pod dachem bogatego szlacheckiego dworu stała niegdyś kolebka jego, kędy były te wykwinty dostatku, te pieszczoty losu z pośród których wyniósł on swą gibką, smukłą, zdrową postać, białość swego czoła, cienkość warg młodzieńczych, delikatność ręki utworzoną miękkiem próżnowaniem mnogich pokoleń.

— No, rzekł po chwili młody więzień; teraz na mnie kolej. Przykląkł przed kotłem i ujmując swą misę dodał:

— Myśleliście może iż nie byłem głodny i tak sobie dla przyjemności czekałem aż przyjdziecie do porządku! Bądźcie pewni że jeść mi się chce lepiej jeszcze jak wam, ale cierpieć nie mogę wrzasków waszych i kłótni... Co za ochota sprowadzać sobie na kark panów strażników i dozorców, czy nie lepiej samych siebie pilnować? prawda?

— Prawda! odezwało się kilka głosów a jeden z nich ciągnął dalej.

— Już to nie dziwota że ty Kaliński nie lubisz kiedy ludzie kłócą się i biją... U rodziców twoich cicho było jak u Pana Boga za piecem, co?

Zjadliwe szyderstwo brzmiało w chrapliwym głosie i malowało się w cynicznej fizyonomii więźnia który wymówił te wyrazy.

— To prawda! podchwycił inny więzień brodaty i barczysty. Paniczyk z niego.

— A jednak dostał się tu jakoś pomiędzy nas!

— I chlipie z nami czerwony krupnik!

— I pomaga nam zamiatać turmę!

— A mama i tata nie przychodzą z wizytą.

— Cha, cha, cha!

Słowom tym wymawianym tłumnie towarzyszył chór grubych urągających głosów.

Widziałem jak po czole Kalińskiego przemknął ciemny, szybki rumieniec, oczy jego zagorzały jak żuzle, zwierzchnia warga drgnęła. Był to jednak błyskawiczny przelotny moment — po którym na twarz jego wrócił uprzedni wyraz łączący w sobie stanowczość i energiję z łagodnością i żartobliwością. Położył łyżkę którą w przódy kilka razy poniósł był do ust i tocząc spojrzeniem dokoła wstrząsnął powoli głową.

— Oj ludzie, ludzie! zawołał żebyście wiedzieli jakie głupstwa i niegodziwości z gęby waszej wychodzą tobyście jej nigdy nie otwierali. A naprzód o rodzicach moich wara wam plaskać językami! Który z was piśnie raz jeszcze o ojcu moim albo o mojej matce, temu tak przypomnę mores, że mu gwiazdy w oczach zaświecą.

Ci z więźniów którzy odzywali się w przódy, chmurnie spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami, chcieli widocznie odpowiedzieć śmiechem który jednak nie wydobył się na ich usta. Chlipali dalej strawę swą i milczeli. Kaliński poniósł też parę razy łyżkę do ust, poczem bez żadnego już uniesienia owszem żartobliwym i swobodnym tonem mówić zaczął.

— Co zaś do tego że jestem paniczem a pomimo to dostałem się pomiędzy was, święta to prawda. Nie ma jednak tu wcale powodu do śmiechu, moi ludzie, ani też do dokuczania bliźniemu.

Świat to huśtawka na której człowiek kołysze się, to podleci wysoko, to spadnie nisko. Taki co sznury od huśtawki mocno w garści trzyma nie uderzy się o kłodę i nie upadnie nosem w kałużę. Ale puść tylko huśtawkę na wolę wiatrów, polecisz w dół jak piłka i stłuczesz się na taką miazgę, że cię i rodzona matka kiedyś nie pozna!

— Ot już i zaczął *fikilizować*! (filozofować) zawołał śmiejąc się ponury i brodaty więzień.

— Cicho, Grzegorzu! ozwała się za nim mała szczupła, ze zwiędłem ciałem i cierpiącą twarzą kobiecina, niech mówi! niech mówi!

— Niech mówi! powtórzył głos inny, jak zacznie gadać to mi się zawsze zdaje, że jestem jeszcze kamerdynerem u pana Marszałka i chodzę koło stołu z serwetą na ramieniu!

Kobieta która odezwała się wprzódy, chora widocznie i zgnębiona na ciele i duchu nic nie wyrzekła więcej, ale wlepiła w młodego więźnia wzrok uporczywy mglący się wilgocią. Znać gdy patrzała na niego i jej także przypominała się chwila jakaś z minionej, jaśniejszej przeszłości.

(d. c. n).

Korespondencya z Petersburga.

Zima tegoroczna w Petersburgu nie odznacza się żadnemi nadzwyczajnościami; nie mamy tu śniegów jak w Szwajcaryi, które w lasach okrywających góry takiego rumotu łamaniem drzew narobiły, że spłoszone gemzy błąkają się po drogach szukając posiłku: zawsze jednak śniegu mamy tyle, że możemy jeździć sankami pędząc jak wiatr po długich i obszernych tutejszych ulicach. Mimo jednak tego w ostatnich czasach stan zdrowia mieszkańców pogorszył się znacznie a szczególniej wzmogły się gorączki i tyfusy.

Wiadomości odebrane z Odessy narobiły tu cokolwiek popłochu, bo jakkolwiek znaczna bardzo przestrzeń dzieli te miasta pomiędzy sobą, utrzymują jednak z sobą ściśle stosunki handlowe. A wieści te były nie bardzo pocieszające. Pszenica nagle spadła w cenie, spowodowała liczne bankructwa, które niepodobna przypuścić aby nie oddziałały szkodliwie na kupców Moskwy i Petersburga. Wprawdzie są to po większej części bogacze, jakich zupełnie nie posiadacie, straty jednak nagłe i niespodziane mogą zniszczyć i najbogatszego.

Do tego nieszczęścia trafunkowego, przyłączyła się druga bieda w Odessie: stagnacya handlowa wywołana jak dziś ogłoszeniami banków sprzedających za długi już nie po jednym lub po kilka domów ale całe niemal ulice. A stało się to wszystko bardzo naturalnie, najspokojniej w świecie: gdy się bowiem owe banki otwierały, każdy chwytał pożyczkę w tej nierozważnej nadziei, że prowadzeniem różnych interesów handlowych a nawet przez kupno domu za pożyczone pieniądze wyższy otrzyma procent od opłacanego. Tymczasem wyrachowania wszelkie hybiły; domy staniały, komorne w cenie spadło, spekulacye handlowe zawiodły a przy groszu i hulanek nie brakowało, gdy więc przyszło płacić raty, nie było czem, domy więc idą na przymusową sprzedaż i sprzedają się jak to mówią za psie pieniądze.

Tutejsi uczeni astronomowie zaprzątali się niezmiernie przejściem Wenery przez tarczę słońca, i podobno z odbytych i nadesłanych obserwacyi z różnych stron prowadzonych bardzo są zadowolnieni. Chociaż z Kopenhagi donoszą, że takowe we Władywostoku nie powiodły się, jednak zdjęto 15 fotografii i w Petersburgu są z nich zupełnie zadowoleni. W Ispahanie przysposobiono 10 fotografii, ale punkt wyjścia planety w tarczę słoneczną zakryty był chmurami. Wiadomo że obserwacye robione były prawie we wszystkich miejscach uznanych za odpowiednie i że wszędzie prawie powiodły się wyjąwszy w Omsku, w Błachowieszczeńsku, Orenburgu, Kazaniu, Uralu, Astrachaniu, Kerczu, Tyflisie, Erywanie i Nachiczewanie. Jest więc nadzieja że nauka nową zdobycz uzyska.

Drugą sprawą wielce uczonych tutejszych zajmującą, jest zapowiedziany na ostatni dzień Marca roku przyszłego 1875, w Paryżu kongres między-narodowy umiejętności jeograficznych wraz z wystawą. W tym celu Towarz. jeogr. paryzkie wysłało już zaproszenia do państw całego świata o przyjęcie udziału w tej pracy wielkiej doniosłości. Mają bowiem badać kulę ziemską pod wszelkiemi względami, tak

co do fizycznego składu jak do objawów życia na jej powierzchni; studyować sposoby jej wymiaru i oznaczenia jej stosunku z innemi ciałami niebieskiemi; wykazać jaki był stan naszej planety w różnych epokach; odnaleść w śladach wyciśniętych na ziemi historyą jej zbudowaną przez nowoczesną erudycyą; szukać sposobów prędkich i ułatwiających zbliżania się między narodami; podawać ułatwienia do stopniowego zdobywania całej przestrzeni mieszkalnej kuli ziemskiej; porównywać między sobą różne sposoby nauczania i łączyć się w usiłowaniach rozpowszechniania i postępu nauk geograficznych; porozumiewać się co do wypraw w strony nieprzystępne i podawać środki przełamania trudności i przeszkód, słowem, stwierdzić co już stało się pewnikiem, roztrząsać co jest jeszcze wątpliwe, odkrywać co nieznane tak w teoryi jak praktyce ziemioznactwa.

Program bardzo obszerny, obejmujący wszystko co tylko nauki jeografii dotyczy, nic zatem dziwnego że uczeni tutejsi, wielce się przyszłym zjazdem zajmują, zwłaszcza że wystawa jednocześnie podczas kongresu urządzona, przyjmować będzie książki, mapy, instrumenta i inne przedmioty mające związek z geografią. Wystawa ma trwać przez cały Kwiecień i podzieloną zostanie na grupy obejmujące: geografię matematyczną, fizyczną, morską, roślinną, zoologiczną, historyczną, handlową, geodozyę, topografię, hydrografię, etnografię, sposoby nauczania oraz podróże naukowe i handlowe. *(d. n).*

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Z Berlina.

Dawno, bardzo już dawno temu, bo jeszcze w pierwszych latach panowania króla a dziś cesarza Wilhelma, „Kladerradatsch“ który nikomu i niczemu nie przepuszcza, przedstawił na rycinie różnych ministrów zakłopotanych złemi finansami swych państw, a w gronie ich ministra skarbu pruskiego siedzącego nad doskonałym budżetem, w prawdziwie rozpaczliwej postawie; zadziwieni co może być powodem tak ciężkiego utrapienia, zapytali o przyczynę: „Chciałbym także mieć deficyt!“ odrzekł minister, a pokazując na budżet dodał: „a tu bynajmniej na to się nie zanosi.“ Otóż *Kladerradatsch* w złą godzinę wypisał życzenie, które dziś bardzo bliskiem jest urzeczywistnienia. Groźne widmo deficytu ukazuje się przerażonym sternikom Państwa, którzy chwytają się wszelkich sposobów aby jeźli nie przeszkodzić, to choć oddalić jego pojawienie się.

W takich razach finansiści państwowi najczęściej uciekają się do podwyższenia podatków; środek ten nie wymaga ani pomysłowości ani genialności, a najprędzej prowadzi do celu. Już i teraz w Prusach podatki są bardzo wysokie. z wyjątkiem podatku od tytoniu i tabaki.

Jest to już dziś niezaprzeczonym pewnikiem, że praca stanowi główną podstawę bogactwa narodowego otóż od lat już kilku, a mianowicie od czasu ostatniej wojny francuzkiej, oderwano od niej najmłodsze i najpotężniejsze siły. Militaryzm rozwielmożnił się kosztem przemysłu. Dalej, jak tego dowiodły ostatnie jeszcze wystawy między-narodowe, wyroby niemieckie ani pod względem dobroci, ani smaku ani trwałości, nie są w stanie dorównać angielskim i francuzkim. W prawdzie wyroby są tanie, ale nie gustowne i nader nietrwałe, nie mogące zadowolnić choć cokolwiek wykształceńszego smaku. Dziś więc gdy w ogóle chęć używania i potrzeby wszystkich klas coraz więcej wzrastają, w miarę ubytku pracy i upadku przemysłu, muszą sprowadzać coraz więcej wyrobów zagranicznych, a tak przywóz przewyższa wywóz, coraz więcej pieniędzy wychodzi zagranicę. Jeźli tak dalej potrwa, a dotąd nic nie zapowiada polepszenia dzisiejszego stanu rzeczy, nędza biednej ludności ostatnich dosięgnie granic, a w ślad za nią zwiększy się jeszcze liczba gwałtownych kradzieży, zabójstw i morderstw, które też według urzędowego wykazu ministra sprawiedliwości w Berlinie, coraz szersze przybierają rozmiary.

W roku 1872 liczba przestępstw sądzonych przez sądy przysięgłe wynosiła 8193; w 1873 r. 8546. Przestępstwa przeciw obyczajom wynosiły w 1872 r. 7, 5 na 100, zaś w 1873, 8, 8 na 100. I w takimże stosunku zwiększyła się liczba spraw o krzywoprzysięztwa, morderstwa, dzieciobójstwa, bankructwa, podpalania i t. p. Porównywając sprawozdania kryminalne z ostatnich lat 20, przekonywamy się że w przecięciu liczba zbrodni głównych powraca się w pewnych peryodach z zadziwiającą regularnością. I tak stosunek gwałtownych kradzieży od roku 1854 wynosił 22 do 25 na 100 odnośnie do całej liczby ludności, a powiększenie następowało zawsze w latach w których większa panowała nędza.

W roku 1873 wydano w Prusach 40 wyroków śmierci, 2540 skazujących do ciężkich robót, z tej liczby 11 na całe życie i 2207 na więzieniu i kary pieniężne.

Obecnie w samych Prusach liczba uwięzionych przestępców wynosi przeszło 27000.

Przed parą tygodniami odbył się w Berlinie kongres dyrektorów i inspektorów więzień, którzy uradzili iż należałoby pozwalać osobom skazanym na zwykły areszt, aby mogły żywić się i utrzymywać swoim kosztem; dotąd była to łaska której, i to nie zawsze, dostępowali sami tylko dziennikarze.

Słynny doktór Schliemann który zadał kłam odwiecznemu przysłowiu „nie ma miejsca gdzie była Troja“ ogłosił teraz sprawozdanie ze swej podróży po Grecyi. Najciekawszą jest wycieczka jego do sławnego wąwozu termopilskiego. Przekonał się jak dokładnie starożytni historycy opisywali miejsca będące widownią ważnych wydarzeń. Doktór Schliemann odnalazł strumień którego gorące siarczane wody wypływają z podnóża skał, który Herodot opisał dokładnie, oznaczając odległość jego od Termopil, na 2800 metrów. Około tego strumienia wije się ścieżyna którą zdrajca Efialtes przeprowadził Persów w celu okrążenia wąwozu. Lecz dzisiejsze Termopile nie są już zupełnie takie jak były dawniej; i tu jak wszędzie natura dokonała swej powolnej pracy przekształcenia. Teraz rzeczywiście trudno bardzo jest rozpoznać drugi ciaśniejszy wąwóz, gdyż miejsce będące niegdyś niezgruntowanem bagnem a może i morzem, jest dziś twardym gruntem a raczej pokładem grubym soli lub siarki pozostawionej przez strumień siarczany, któremu wąwóz zawdzięcza swą nazwę. Dziś u stóp tych skał urządzono nowe łożysko strumienia, mające dostarczać wody do młyna.

Doktór Schliemann podaje długość Termopil, na 350 do 400 metrów, przy wejściu do nich widać wzgórze 15 metrów wysokie, na którem według wszelkiego prawdopodobieństwa, znaleźli śmierć dzielni Spartanie. Tutaj wznosił się kolosalny pomnik, w postaci Lwa, wzniesiony dla uwiecznienia pamięci bohaterów greckich.

Postument na którym stał ów lew, wyrobiony był z czerwonego marmuru; zniszczyła go wszechwładna ręka czasu. Przed kilku jeszcze laty widać było szczątki, dziś z całego pomnika nie pozostało i śladu a pojedyncze części użyto przy budowie młyna. Jeden dowód więcej że najtrwalsze pomniki nie dotrwają tym jakie sława wznosi w pamięci ludzkiej.

Podczas wyprawy do Morei w roku 1829, Francuzi rozpoczęli poszukiwania na gruncie dawnych igrzysk Olimpijskich, i doprowadzili je dość daleko; obecnie Niemcy, wspólnie z rządem greckim, wznowili rozkopywanie. Przed stanowczą ratyfikacyą traktatu przez Izby greckie, posłano na miejsce profesorów Kurtius'a i Adler'a, dla ułożenia przybliżonego mniej więcej kosztorysu; według tego obliczenia pierwsze prace mają trwać lat dwa i kosztować około 570 0 talarów. Missya naukowa której powierzono ważne to przedsięwzięcie, składa się: 1-o z komitetu kierującego, zasiadającego w Berlinie, złożonego z trzech osób: z uczonego, z doświadczonego praktyka i z urzędnika rządowego; 2-o z komitetu osiadłego na miejscu wykopalisk i znoszącego się z pierwszym. Komitet ten składają: architekt i archeolog którego specyalnym obwiązkiem jest składać codziennie sprawozdanie z dokonanych prac i ich rezultatów; 3-o z inspektora dozorującego pracy, kucharza i służącego. Do tej missyi przyłączają się jako ochotnicy różni uczeni, artyści i amatorowie.

Miejscowość na której mają się odbywać te rozległe wykopaliska, obejmuje w sobie ową rozległą dolinę którą przerzyna Alfea, dziś nazwana Rufio. Od strony północnej wznosi się łańcuch wzgórz Olimpu przez długość którego ciągną się ciasne lesiste wąwozy. Tutaj u stóp ich rozciągał się plac gonitw czyli stadium, a nieco ku wschodowi, plac wyścigów wozami. W okolicy wznoszą się ruiny świątyni Jowisza, które Francuzi zwiedzali już w ciągu wyprawy do Morei, i wiele odłamów tamtejszych rzeźb znajduje się w Luwrze. Missya niemiecka od tej świątyni ma rozpocząć poszukiwania i można się spodziewać, że odkryje tam prawdziwe skarby pod względem sztuki i historyi sztuki. Pauzaniasz wylicza, że w miejscach tych znajdowało się przeszło trzysta pomników wzniesionych na cześć zwycięzców na igrzyskach olimpijskich; dalej wiadomo jest że tak sławne świątynie były równie licznie nawiedzane jak nasze kościoły, i że znoszono do nich różne drogocenne dary. Ileż to zatem skarbów może się dostać w ręce Niemców.

Niedawno odbyło się w Bonn ogólne posiedzenie *Stowarzyszenia rozwoju oświaty ludowej* pod prezydencyą p. Schultze-Delitsch. Znajdowało się na niem przeszło stu-pięćdziesięciu delegatów z Niemiec Północnych i Południowych i wielu bardzo przyrodników miejscowych. W roku zeszłym Stowarzyszenie to liczyło 2274 członków, w bieżącym liczba ich podniosła się do 3123. Wszystkie prowincye niemieckie miały tu swoich przedstawicieli, lecz Prusy najwięcej ich dostarczyły.

W roku 1873, stowarzyszenie założyło 31 nowych szkół i 40 bibliotek, a prócz tego „wędrowni profesorowie“ wygłosili przeszło 400 odczytów publicznych. Dochód Stowarzyszenia wynosił 35225 tal. a rozchód 12579 tal: fundusz zapasowy 22645 tal;

Nader zajmującą była długa rozprawa o bibliotekach ludowych. W ogóle wszyscy niemal mówcy uskarżali się na zbyt małą ich liczbę, których celem jest współzawodniczyć i ograniczać kolporterstwo ciągle się wzmagające, i usuwanie złych i niemoralnych książek i romansów podających opisy wyuzdanych namiętności lub spraw kryminalnych. Czytanie podobnych utworów jest powodem rozkiełzania wyobraźni kosztem rozumu szlachetnych uczuć i dobrego smaku; zwolennicy podobnych utworów zarzucają zupełnie czytanie książek pożytecznych i naukowych i często wstępują w niecne ślady swoich ulubionych bohaterów. Jako środek zaradczy wskazywano; aby ludzie uczeni raczyli zniżyć się do prostaczków i pisać dla nich książki tak ponętnie podające naukę aby je mogli czytać z zajęciem.

Przed kilku tygodniami Akademija Umiejętności obchodziła uroczystość na cześć założyciela swego, Leibnitza. W wielkiej sali posiedzeń zebrał się świat elegancki i najpierwsi przedstawiciele nauki. Pre-

zydował sławny historyk Mommsen; a oprócz tego miało miejsce przyjęcie do wydziału fizyczno-matematycznego Siemensa i Virchowa, oraz pilologa Herchera. Co do dwóch pierwszych było to uroczystość niezwykła; nie chodziło tu bowiem o samo przyjęcie ale o uczczenie dwóch znakomitości naukowych, znanych dziś w całej Europie. Stronnictwo zwane tu „perukowem" długo bardzo opierało się przyjęciu Virchowa do Akademji, i wejście jego do niej może być uważane jako wejście zwycięzcy do twierdzy w której murach zdołał zrobić wyłom. Tym obalonym murem jest staroświecka rutyna zastarzałych przesądów.

Dzisiejsi uczeni niemieccy zrobili kompromis z wiekiem w którym żyją; nie zamykają się już zdaleka od świata, ale raczą zstępować niekiedy do grona prostych śmiertelników. Wielu z nich tak są obwieszeni wstęgami i orderami jak gdyby należeli do ciała dyplomatycznego. Nawet demokrata Virchow nosi na szyi czerwoną wstęgę; a Helmhultz, Mommsen, Lepsins Kurtius, mają więcej orderów niż nie jeden ambasador.

Przyklaskiwano bardzo przemowie Mommsena o Leibnitzu; głębokość poglądów i piękność formy, czynią ją prawdziwym wzorem wymowy akademickiej. Następnie przemawiali z kolei nowo przyjęci członkowie. Filolog Hercher przedstawił skromnie prace swoje i otrzymane z nich rezultata. Ernst Kurtius odpowiedział mu pochwałą filologji gruntownej, jaką uprawiali akademicy Bockh, Lochmann, Becker i. w. i. nie mającą żadnego związku z ową mniemaną tegoczesną nauką której fantastyczne wymysły wszystkiemu zagrażają.

Z największą niecierpliwością oczekiwano rozpraw Virchowa i Siemensa. Sama postawa ostatniego zdradza człowieka, którego wielka inteligencya i wszechstronna działalność ogarnęła wszechświat cały i któremu nauka tyle cudownych zawdzięcza odkryć. Co do Virchowa, ten od pewnego czasu tak przeważnie zajęty jest polityką, iż zapomnieliśmy prawie że naukową swoją sławę zawdzięcza głównie znakomitym odkryciom w dziedzinie patologii. Można powiedzieć że jest on w Niemczech założycielem medycyny mikroskopijnej i dostrzeżeń komórkowych. Rozprawy obu tych nowo przyjętych członków były przyjmowane głośnemi oklaskami.

Znany muzyk przyszłości, Ryszard Wagner, w ogromnych teraz znajduje się kłopotach. Wiadomo, że przedsięwziął zbudować olbrzymią salę teatralną, w której przedstawianoby same tylko jego i niemieckich kompozytorów utwory muzyczne i zaprowadzono wszelkie zamierzone przez niego reformy. Zamyślał zbudować gmach ten przez akcye, lecz zdaje się iż wierni mu wielbiciele, nie wielką pokładają ufność w przyszłość „muzyki przyszłości," gdyż mało bardzo zebrał podpisów, skutkiem czego pomnikowy budynek jego może nigdy skończonym nie będzie. Opery francuzkie i włoskie, jako każące smak i nie zgadzające się z moralnością niemiecką, nigdy nie byłyby dopuszczone na scenę. Wagner już lat dwadzieścia nosi się z tą myślą: do jej urzeczywistnienia potrzeba mu tylko cztery i pół miliona florenów, i znaleść ich nie może, i dla tak marnej sumy wielkie marzenie nie może zamienić się w rzeczywistość. Dodać jeszcze trzeba, że wejścia do tego teatru miały być bezpłatne; dobry sposób aby publiczność zgromadzała się licznie i zawsze przychylnie była usposobioną.

Wagner narzeka głośno, że prasa nie popiera jego cudownego pomysłu, że ani szlachta, ani finansiści, ani uczeni nie przychodzą mu w pomoc, i w liście do przyjaciela swego pewnego Amerykanina ogłasza „iż teraz całe nadzieje pokłada tylko w wielkim i szlachetnym ludzie amerykańskim." Czy tylko i ta ostatnia nadzieja nie rozwieje się z wiatrem.

Pomimo tak długoletnich starań w celu zbudowania sobie pomnika, przekonani jesteśmy że Wagner nigdy nie zdoła tego dokazać aby w lat sto po jego śmierci oddawano mu taką cześć, jaką dziś jeszcze oddają pamięci prawdziwie genialnego muzyka niemieckiego Mozarta. Książe Starchemberg kupił pawilon drewniany, w którym, w jesieni 1791 roku twórca *Don-Juana* i *Wesela Figara* napisał *Flet zaczarowany*, i podarował go Towarzystwu muzycznemu Salcburgskiemu, które zawiązało się na cześć Mozarta. Rada municypalna Salcburgska postanowiła że pawilon i otaczająca go część ogrodu, otoczone piękną kratą, będą się roztaczać w zdłuż nowego bulwaru; wszystko to urządzi się kosztem miasta, a miejsce to nazwane zostanie „Gajem Mozarta."

(d. n).

Przegląd literacki.

Porównawcza ocena dwu nowych gramatyk.

1. *Mała Gramatyka języka polskiego.* Wyłożył August Jeske. Wydanie 2-gie.

2. *Zasady Gramatyki języka polskiego.* Ułożył Ignacy Boczyliński. Źródłosłów (sic) czyli Etymologja (część I).

Mamy więc znowu dwie nowe gramatyki polskie, z których pierwsza nosi już nawet datę przyszłego, da Bóg doczekać, roku 1875. Mówimy nowe, gdyż chociaż dziełko p. Jeskego jest drugiem wydaniem, lecz według słów samego autora, do tego stopnia przerobionem, że może uchodzić za nową książkę.

W ciągu dwu lat ostatnich pojawiło się tyle nowych gramatyk, ile ich nie było w ciągu jakich dwudziestu lat poprzednich. PP. Skrzypiński, Czepieliński, a obecnie Jeske i Boczyliński, panie Kamocka i (pożal się Boże) Maleczyńska i Radońska obdarzyli nas nowemi dziełkami, z których każde miało nosić jakieś wybitne piętno oryginalności, miało odznaczać się pewnem ułatwieniem metody lub uprzystępnieniem nowszych zdobyczy naukowych. Wszystko to niestety, nic w przekonaniu znawców, jak to się po ich ocenie okazało...

Zkąd taka mnogość gramatyk? Powiadają, że wtedy najbardziej mnożą się na świecie przepisy i prawa, kiedy wykraczających liczba wzrasta; wtedy najwięcej mówią o wstrzemięźliwości, gdy liczba wstrzemięźliwych coraz się zmniejsza; wtedy w ogóle najgłośniej brzmią wymowa kaznodziejska i satyra, gdy moralność upada. Czy nie do tej samej kategoryi należy odnieść i owo pojawienie się tak licznych gramatyk w epoce, gdy mowa (jak tego w prasie peryodycznej mamy dowody) coraz to bardziej psuje się, zanieczyszcza, wikła i niedołężnieje? Czy łatwo dziś napisać *nową* gramatykę polską? Zapewne że wobec tylu źródeł, na podstawie prac tylu poprzedników, a nawet opierając się na mniej lub więcej szczęśliwej własnej praktyce pedagogicznej, nadzwyczaj łatwo zostać kompilatorem nowej wrzekomo gramatyki. To też niektóre z wymienionych powyżej książeczek są bardzo lichemi kompilacyami, a czasem nawet i na to miano nie zasługują. A i co do reszty, wyznajmy prawdę z góry, nie widzimy wielkiego postępu samodzielnych badań gramatycznych, całą różnicę pomiędzy pokrewnymi podręcznikami najczęściej stanowi jedynie odmienny nieco porządek rozdziałów, kilka odmiennych terminów naukowych, czasem jakby umyślnie dla wyróżnienia się ukutych, choć dziwacznych, trochę różnicy w skazówkach tyczących się metody (przeważnie analitycznej, stosowanej dziś w nauce języków żyjących), dalej zachowawcze lub nowatorskie stanowisko względem niektórych spornych punktów morfologii, fonetyki lub pisowni, nakoniec odrębne przykłady i zadania do ćwiczeń.

Co do własnych pomysłów autorów, skąpo ich bardzo w nowszych naszych gramatykach: przerabiają oni mniej więcej teorye Małeckiego, Sucheckiego i Malinowskiego, kombinując klasyfikacye i określenia z pewnym niekiedy pozorem samodzielności, a stosując mniej lub więcej do gramatyki polskiej wyniki badań lingwistycznych w dziedzinie innych języków, niestety, najczęściej wszyscy błądzą wskutek braku należytej ogledności.

Te słów kilka niech wystarczą jako wstęp, bez zamiaru ogólnej naganы, ale też i nie w guście pochwały skreślony. Robi się co można i trudno wymagać od kogoś, ażeby robił lepiej niżli jest wstanie. Lepiej coś jak nic: pracują ludzie na niwie ojczystej mowy, cieszymy się z tego, oczekując od przyszłości coraz to gorliwszej pracy i coraz to dojrzalszych jej owoców.

Przystępujem teraz do krótkiego rozbioru obu wymienionych w nagłówku gramatyk. Obydwie mają to wspólnego, że są przeznaczone do elementarnej nauki języka wszelako znacznie różnią się objętością: książeczka p. Jeskego, istotnie elementarna i kruciutka, stanowi zaledwie połowę książki pana Boczylińskiego i, zawiera jednak któtki zarys całej gramatyki, wówczas gdy pan B. dał nam zaledwie I-ą część nazwaną, powszechnym błędnym obyczajem, „Etymologiją" a jeszcze błędniej (po raz pierwszy w tem znaczeniu) „Źródłosłowem:" pierwszy bowiem wyraz właściwie oznacza samą naukę o pochodzeniu wyrazów zwaną przez pana B. „Słoworodem" np. znane dzieło Kurcyusza „Grecka Etymologija" należąca do zakresu wyższej lingwistyki), a „źródłosłów", według powszechnie przyjętego znaczenia, jest to „temat" wyrazu, nigdy zaś nie może oznaczać części gramatyki. Pierwszą część gramatyki stanowią właściwie Fonetyka i Morfologija, z dodaniem tylko pewnej dozy Etymologii. Pomimo tę różnicę objętości, mniemamy że dziełko pana B. jest również elementarnym podręcznikiem, jak i praca pana Jeskego, gdyż bardzo wiele w nim rzeczy, całkowicie dla ucznia nieprzydatnych, tak że stosując pewny wybór, można zredukować pracę pana B. do rozmiarów dziełka p. Jeskego, w którem już istotnie, choć są błędy i braki, ale nie masz nic zbytecznego.

Ogólny ten sąd nasz o obu dziełkach, który z konieczności wypadło nam już z góry wypowiedzieć, znajduje poparcie w szczegółowem rozpatrzeniu się w obydwóch.

Metoda u obódwu autorów prawie jednakowa: tylko pan J. zrazu zaczyna od zdania, poczem przechodzi w krótkości części mowy, dalej mówi o zdaniu rozwiniętem, poczem traktuje głosownią i raz jeszcze części mowy i szczegółowo ich odmiany, zaś pan B. pierwej mowi o rzeczowniku, czasowniku i zaimku, potem w krótkości (nieco chaotycznie) to o zdaniach to o odmianach i głoskach, a już na str. 10 swego dziełka zaczyna obszerną głosownię, to co u pana J. stanowi kurs II-gi, a więc zaprędko. U pana J. większą znajdujemy proporcyonalność, tak że ze względów praktycznych, przekładamy jego metodę. Wielką wartość pedagogiczną posiadają także przy końcu każdego niemal ustępu dodane powtórzenie treści w pytaniach i przykłady do ćwiczeń ustnych i piśmiennych.

Część pracy p. Jeskego, nazwana przez nas kursem I-ym, a którą sam autor nazwał 1-m rozdziałem, w ogólności opracowana jest dobrze i praktycznie, choć nie bez błędów, czasem nawet grubych jak w owym tradycyjnym niby filozoficznym wstępie o myśli i pojęciach (str. 1 i nastep. jak np. „Przykłady, to myśli" „myśl przebywa w wyobraźni i t. d.), w klasyfikacyi rzeczowników (str. 9, gdzie po stare-

mu, imiona własne mają służyć tylko *pewnym* przedmiotom lub nawet *jednemu* np. Stanisław?), w podziale liczebników (str. 36), w niezupełnym wykazie przyimków (str. 43) i t. d.

W odpowiednim kruciutkim „Wstępie przygotowawczym“ pana B. oprócz jego pobieżności, znajdujemy również błędy jak np. ów „tradycyjny, a w gruncie niedorzeczny podział „osób na mężczyzn, kobiety i dzieci“ (str. 2), albo przez pośpiech pomyłkowe zapewne wywodzenie *á* z języka łacińskiego (str. 9). Pierwszą, zdaniem naszem, niepotrzebną inowacyę autora spotykamy też na pierwszych kartkach: jest to nazwa *cząsteczki mowy* z innych języków wzięta na oznaczenie części mowy nieodmiennych (str. 4).

Rozdział czyli kurs II-gi „Odmienny“ (to jest Głosownia i Morfologija) u pana Jeskego wyłożony mniej zadawalniająco. Dużo tu bowiem błędów i opuszczeń. Tak np. w głosowni podział głosek nie przeprowadzony dokładnie (str. 64), a nauka o zamianach spółgłosek ogranicza się dawnym obyczajem, do *przykładów* zmian takowych. Na uznanie zasługuje należyte wyróżnienie pierwiastku do źródłosłowu (str. 68); mniej potrzebną jest teorya przegubów i podgłosów (str. 68-69) ale najbardziej nas rażą grube błędy czy też pośpieszne pomyłki jak np. prawidło o zakończeniu *i* lub *y* w 2 przyp. licz. mn. (str. 78), uwagi o żeńskiej deklinacyi (str. 88-89) i o imionach cudzoziemskich (str. 103): mnóstwo tam błędów, które odrazu rzucają się w oczy. Deklinacyi pan J. ze względów praktycznych, przyjmuje 3 z Kopczyńskim, zresztą opiera ją na źródłosłowach i owych *przegubach* i konjugacyi przyjmuje również trzy, podobnie, a nawet jeszcze bardziej na hypotezie przegubów opartych.—Jak we wszystkich mniej więcej naszych dotychczasowych gramatykach tak i u pana J. dział czasowania najsłabszy: autor może się tem tylko pocieszać, że zadawalniające opracowanie tego działu nie powiodło się nawet Małeckiemu ani Malinowskiemu. Odpowiedni powyższemu dział głosowni i odmian w gramatyce pana B. opracowany daleko obszerniej i staranniej, nie jest wszakże wolny ani od błędów ani od szczegółów w elementarnym podręczniku zbytecznych, ani od pewnego jakby popisywania się z cudzemi, a czasem własnemi hypotezami, częstokroć wątpliwemi, niekiedy nawet w terminologii widzimy drobiazgową pogoń autora za samodzielnością ..... tanim kosztem.

Tak np. autor *organem* mowy nazywa usta, a *narzędziami* resztę głosowych organów (str. 10): wyróżnienie naciągane, gdyż grecki wyraz *organ* znaczy to samo co *narzędzie*, a że głos wydobywa się przez usta, tem niemniej język, gardło i t. d. są również narzędziami czyli organami mowy. Autor każe wierzyć że *e* przechodzi w *i* (sic! str. 11), przytaczając przykłady jak *przymierze* i *mir* (toć chyba *mir* jest starszy niż *przy-mierze*, a więc chyba *i* przechodzi w *e* albo *wiedzieć* i *widzieć*, w czem tam rzecz ma się odwrotnie, gdyż we wszystkich językach aryjskich pierwotnym, a więc dawniejszym jest pierwiastek *wid* a nie *wied*. Niepotrzebnie autor bawi się w lingwistykę i przy rozpatrywaniu praw, którym ulegają samogłoski i spółgłoski: zamiast trzymać się gruntu odmian w granicach języka (reszta w elementarnej gramatyce zbyteczna) pan B. prawi że *wątpić* mówi się zamiast *dwątpić*, *obfity* zam. *opłwity* (!) *skrzydło* zam. *krzydło* i t. d. Czasem takie zbliżenia są po prostu błędne tak np. *robak* nie zam. *grobak* (str 17) lecz zam. *chrobak* (jak dziś jeszcze mówią na Szląsku) a utrzymywać że *mydło* mówi się zam. *myło* a *pas* zamiast *pojas*, znaczy to chyba wywodzić język polski od innego jakiego słowiańskiego języka. Pan B. wziął od p. Sławińskiego teoryę sylab pauzowanych, a w ustępie o akcencie popada w całkiem zbyteczną rozwlekłość, rozbierając po szczególe wyrazy jednozgłoskowe, dwuzgłoskowe i t. d. (str. 21), wówczas gdy wobec ogólnej zasady i małej liczby wyjątków, daleko krócej możnaby się z tem wszystkiem załatwić. Pan B. nazywa tu zakończenie *śmy* (skrócenie słowa posił.) przyrostkiem narówni np. z *li* i każe przypuszczać w wyrazach cztero i pięciozgłoskowych, oprócz akcentu, jakiś *przygłos* (sic!) na pierwszej sylabie np. *marnotrawny* (tamże); zastosował go tu autor snać idąc za metrycznemi teoryami niektórych pisarzy (Elsner, Królikowski, Jenike), którzy słusznie każą w *poezyi* uważać wyrazy, jak powyższy, za mające dwa akcenta, gdyż inaczej, w braku iloczasu, metryczne stopy byłyły zupełnie w naszym języku niemożliwemi. Nie zdaje się nam także ażeby kto kiedy wymawiał z *akcentem logicznym*, jak twierdzi autor, panié dobrodziejù, cnoty' trzeba (tamże). Podobnież niepotrzebnie auror wprowadza błędną hypotezę *harmonii naśladowczej* (onomatopca), utrzymując że *wyrazy swojskie* (wszystkie, jak się zdaje) pochodzą z *naśladownictwa dźwięków natury*: znany Maks Müller dowodnie zbił tę przestarzałą hypotezę którą nazywa *bau-wau teoryą*. w elementarnej zaś gramatyce, co najmniej, jest ona zbyteczną. Innowacya taka jak wyróżnienie pierwotników, *przedpierwotek* i *popierwotek*, pomijając zawiłość, jest po prostu śmieszną; nadto, tworząc te dziwaczne wyrazy, autor zapomina o tem co mówi sam o niewłaściwem kuciu neologizmów, zwłaszcza na podstawie nieistniejącego wyrazu; jeżeli bowiem sam autor potępia np. wyraz *gwiazdopatrznia* dla tego że wyraz *patrznia* nie istnieje, jak więc usprawiedliwi swój dziwoląg *pierwotka*? (poniżej str.25). Temat czyli źródłosłów nazywa autor *podstawą*.

Z lingwistyki także wprowadza autor chwiejną i wielce sporna hipotezę o początku powstania części mowy (str. 27), według której najpierwej miały powstać wykrzykniki, potem słowa *bezosobowe* (nie po polsku) a potem rzeczowniki, przymiotniki, czasowniki i t. d. Słowa nieosobowe przed osobowem i przed rzeczownikiem! Autor zapomniał, że w żadnym języku nie masz samodzielnych *pierwiastków słów nieosobowych*, lecz że wszystkie one powstały bądź ze słów osobowych, bądź z imion: jakim więc sposobem to, co się z czegoś uformowało, mogło istnieć dawniej od własnego źródła? Oto do czego prowadzi plątanie nieprzetrawionych hypotez lub chwiejnych własnych poglądów do gramatyki, która bez tego wszystkiego wyborne może i powinna się obejść.

W rozdziale o deklinacyach błędów bardzo dużo: nie wyliczając wszystkich, wymienimy tylko niektóre np. rzeczowniki mają służyć za nazwy osobom, zwierzętom, rzeczom *i pojęciom* np. Jan, lew, stół, litość“ (str. 27) nam się zdaje że *Jan*, *lew*, *stół*, to także *pojęcia* jak *litość*. Dalej stare określenie rzeczowników własnych, które wrzekomo są nazwą *pojedyńczych* przedmiotów (str. 28). Nam się zdaje że w prawdzie Europa, Azya, Francya i t. d. istotnie oznaczają jedyne w swoim rodzaju przedmioty, ale czy podobnie rzecz ma się z imionami lub nazwiskami?

Czy może *pojedyńczy* ma oznaczać coś niezłożonego z cząstek?

Chaotycznie nieco wyglądają np. uwagi o dopełniaczu na *a* i *u* (str. 32) a całkiem błędnie prawidło o dopełniaczu liczby mnogiej na *i* lub *y* który wrzekomo mają „wszystkie takie rzeczowniki z zakończeniem miękkiem, które nie mogą *mieć owie* w mianowniku“ (str. 33) a więc według tego np. 1 przyp, mistrze, 2-gi mistrzy, 1-szy chłopcy, 2-gi chłopcy, 1-szy owoce 2-gi owocy! Do rzeczowników ruchowych (str. 41) rachuje autor także i nijakie jak *państwo* w znaczeniu jak sądzimy, zbiorowem, pan i pani) ale *wilczątko* dostało się tam chyba przez pomyłkę. Deklinacyi pan B przyjmuje pięc podług Małeckiego, wyróżnia się tem tylko, że 5-tą deklinacyę nazwał trzecią przez co trzecia została czwartą, a czwarta piątą. Można byłoby i wszystkie nawet poprzestawiać, gdyż na cyfrze porządkowej nic tu nie zależy. Od imion męzkich powiada autor, „ formują się imiona żon, córek i *dzieci* (str. 41; w wyrażeniu *dosiego roku* pan B widzi dawny zaimek *si*, *sia*, *sie*, (str. 47) i t. d.

Czasowanie słów pan B. opracował bardzo szczegółowo i dokładnie. nieskończenie lepiej od pana J. ale system jego nie jesą bynajmniej ułatwionym. Pan B. przyjmuje trzy konjugacye, rachując do pierwszej słowa bezspójkowe, dawniej po większej części za nieforemne uważane, a mnóstwo prawideł które podaje o urabianiu zasadniczych form słowa od tematu, a innych znowu od zasadniczych, wygląda dość chaotycznie.

O reszcie nieodmiennych części mowy autor mówi bardzo pokrótce. Wyliczenia przyimków, dotychczas napotykanego w każdej gramatyce, pan B. nie uważa za potrzebne, Żałujemy również że pan B. po dawnemu mówi o *znaczeniu* spójników i wykrzykników, chociaż. właściwie, te części mowy *nie mają żadnego samoistnego znaczenia*: nie zdaje się nam także ażeby pod rubrykę wykrzyknikowych wyrażeń można było podciągnąć całe zdania jak np. o ja biedny! na pomoc! i. t. d. (str. 114), gdyż w takiem razie wszelkie zdania, podniesionym wymawiane głosem, należałoby odnieść do tejże kategoryi jak np. czytaj książkę! “czcij ojca twego i matkę twoją.., Do liczby przyrostów, które “same nigdy uie występują w mowie,, autor policzył *lada* (a np. lada dzień?), a nawet *nie* (! str. 115.); wyraz *pro-mień* bynajmniej‘ nie jest ,jak chce autor, złożony z *promień*’ lecz *pro* należy tu do źródłosławu (tegoż pierwiastku, a właściwie ten sam wyraz co *płomień*, łacińs. i niem. *flamma*, *flamme* i. t. d.) . Mniemany przyrostek *siś* (ńp. jakisiś) nieznany jest w wykształconej mowie.

Na tem się kończy książeczka pana B. Pozotsaję więc powiedzieć jeszcze słów kilka o reszcie pracy pana Jeskiego której już nie możemy porównać z gramatyką pana B. gdyż zapowiedziana składnia tegoż znajduje się dopiero pod prasą.

Trzeci rozdział pracy pana J. traktuje o zdaniu złożonem i okresie, w ogóle przystępnie i jasno, tylko że przykłady nie zawsze celują jakością.

W czwartym i ostatnim rozdziale mowa o pisowni. Pan J. w ogóle oddaje w pisowni pierwszeństwo zasadzie etymologicznej przed wymawianiem; wiadomo atoli że należy godzić jedno z drugiem. Napotykame tu trochę niedokładności i błędów: tak np. nieprawdą jest ażeby *é* brzmiało zupełnie jak *y* lub *i* (str: 151) gdyż jest to właściwie łźwięk pośredni między *e* a *y* lub *i*, jak *ó* jest pośrednim pomiędzy *o* i *u*. Nawiasem mówiąc, używanie *ó* jest ustaloną i nie zdaje się nam żeby było chwiejnem, jak mówi autor (str. 153). Co się tyczy wyrazów na *ja*, *ya*, *ia*, pan Jeske słusznie obstaje przy zasadach Deputacyi Tow. Przy. Nauk i potępia tak dzisiaj upowszechnioną (nietylko we wszystkich niemal uapisach ale i w druku) błędną ortografią jak np. "Marja, Redakcja" takie brzmienia, z duchem polskiej głosowni sprzeczne, nie istnieją właściwie.

Na str. 162. autor nie potrafił określić różnicy pomiędzy np. łącznie napisanem *niepiękny* i oddzielnie *nie piękny*, utrzymując tylko, że *co innego znaczy* pierwsze, a co innego drugie.

Ostatecznie sądzimy, że obydwa porównane przez nas dziełka mogą, w pewnym zakresie i z pewnym wyborem, być używane w praktyce pedagogicznej. Zalet, brakóẃ i odrębności obydwu nie streszczamy powtórnie, powołując się na to, cośmy powiedzieli powyżej.

L. Sz. W.

OBRAZY NA WYSTAWIE
Towarzystwa Zachęty do Sztuk pięknych
W WARSZAWIE.

Nowości na Wystawie Sztuk Pięknych jest dosyć, lecz żadna z nich nie odznacza się tak dalece, aby wzruszyła myśl głębokim wyrazem piękna lub prawdy. Zaczniemy od obrazu p. Bolesława Łaszczyńskiego: *Śmierć Szopena.*

Artysta uwydatnił chwilę, w której umierający, słucha śpiewu Delfiny Potockiej — wsparty objęciem wiernego swego przyjaciela Gutmanna. Twarz mistrza melodyi nosi ślady zbliżającej się śmierci, ale opromienia ją uczucie zachwytu i błogiego uspokojenia moralnych burz, któremi tak często w ciągu życia duch jego poetyczny, był miotany. Księżna Czartoryjska siedzi przy łożu Szopena, z macierzyńską troskliwością i wyrazem głębokiego smutku wpatrując się w jego oblicze. Zapłakana dzieweczka klęczy z boku, dalej, tylko co przybyli przyjaciele mistrza, zatrzymują się przejęci żalem; przy fortepianie zaś, młody człowiek towarzyszy śpiewającej Delfinie Potockiej, która zasłoniła ręką łzy rzewne i odwróciła się od łoża, snadź obawiając się wydać z żałością przepełniającą jej serce... Scena to smętna, bolesna. Artyście udało się natchnąć twarze właściwym wyrazem cierpienia i żalu. Mielibyśmy tylko do zarzucenia, dla czego nie ozdobił pokoju Szopena, owym tyle ulubionym przezeń urokiem estetycznym? Dla czego tam nie znajdujemy tej massy kwiatów, któremi się tak lubił zawsze otaczać? Cokolwiek idealnej fantazyi, podniosłoby znakomicie wrażenie obrazu.

Święty Józef p. Jasińskiego, odznacza się wielkiemi rozmiarami, bo postaciami prawie naturalnej wielkości. Nie jest on bez zalet pod względem samej sztuki uważany, ale to nie dosyć tymbardziej przy użyciu treści tak wzniosłej jak jest religijna. Widocznie epoka w której stwarzano na tem tle arcydzieło, skończyła się całkiem. Znikła ta wiara głęboka i serdeczna, podnosząca fantazyę do wysokości natchnienia. Z postaci świętych, nie wieje już duch Boży — są to istoty, na które patrząc nie zapominamy ani na chwilę, że *malowane. Malowidło* więc p. Jasińskiego, bardzo poprawne; twarz pielgrzyma Józefa udatna, postawa dosyć naturalna — czego nie możemy powiedzieć o aniele, unoszącym się nazbyt teatralnym sposobem. Na wyraz oblicza anielskiego, Matki Boskiej i Jezusa, zgodzić się także nie możemy; potwierdzają one w zupełności, cośmy rzekli wyżej.

P. Sypniewskiego *Bitwa na Pomorzu*, mimo dodanego opisu przy tytule jest niewyraźną. Domyślamy się, że postać z rozjaśnioną twarzą i długiemi włosami, pędząca na czele hufcu, który kopje z nieprzyjacielem w stal zakutym kruszy, jest Jasieńskim, przeważającym zwycięztwo, lecz to szkoda, że artysta wiele widzowi do domyślności zostawił.

Drugi jego obraz: Medaljerzy na dworze Zygmunta I-go, — nasuwa pytanie. co właściwie ma uwydatniać? Nie jest to historyą i nie zawiera także wybitnego harakteru epoki: Zygmunt w otoczeniu ciekawie patrzących na kosztowne cacka dam, siedzi, i chmurnem dosyć okiem mierzy artystów. Twarze piękne, rysunek poprawny — lecz oba te obrazy pozwalają widzowi odejść po chwili obojętnie.

Krajobrazów jest kilka, i wcale ładnych: p. Gościmskiego *Wieczór zimowy*, przedstawiający wioskę przybraną śniegiem, w całym wdzięku sielskiego obrazka. Chatki, w których wnętrzu błyska zapalone łuczywo, odbicie zorzy wieczornej w szybie zamarzłego stawu, na wzgórzu kościołek nasuwa myśl, że w tej chwili dzwonek na „Anioł pański," mile rozlega się po zaciszu wiejskiem. Całość jest wdzięczna i starannie odrobiona.

Przy zachodzie słońca, są to kilkakrotnie powtórzone studya; p. Gumiński i p. Świeszewski utworzyli dwa na ten temat obrazki, bardzo udatne. Odbicie promieni w wodzie, i na drzewach, zwykły efekt tego rodzaju, wyzyskany dosyć szczęśliwie.

Brzegi Dunajca p. Świeszewskiego, nieco szwankują pod względem perspektywy, lecz znamionują zdolnego krajobrazistę.

P. Kowalskiego *O świcie*, odznacza się prawdą kolorytu; pomysł ma pewien humor realny. Przepełniona buda żydowska wlecze się pomału, zmęczone koniska drzemią, lub posilają się zroszoną trawą przy drodze rosnącą, a woźnica zasnął zapominając o swej godności. Przejeżdżający pocztylion, biczyskiem budzi go dość złośliwie; scena uchwycona widocznie z natury.

P. Brzozowskiego *Rano*, ukazuje nam takież wozy, tylko zdala na moście — świeżość powietrza rannego, zdaje się wiać z tego obrazka, co stanowi jego wielką zaletę.

Ale najładniejszem dziełem, jest p. Ruśkiewicza *Na ponowie*, scena myśliwska. Psy dogoniły postrzeloną łanię, która pada, zdając się żebrać litości. Ustęp puszczy, prześliczny. Drzewa, zamarzłe bagno, niebo, — wszystko niezmiernie prawdziwe. Zarzucićby można tylko, że postać strzelca, cokolwiek za mało wyraźna.

P. Kotsisa mamy *Zagrodę*, obrazek sielski. Matula doją krówkę, karmioną trawą przez małą dzieweczkę, ojciec przyszedł z pola i gwarzą, dzieciak w koszulinie stoi sobie dumając o mleku na kolacyę. Postacie żywe i sympatyczne.

P. Kostrzewski ze zwykłym humorem odwzorował *Powrót z targu*. Na wozie ciągnionym po piasku przez woły, jedzie kuma, cokolwiek *zmartwiona* i drzemiąca; i gospodyni hoża, i jeszcze się przysiada ukradkiem obcy, arendarz lub gorzelany z wioski. A ówże chłop rozmarzony gorzałeczką, którego z trudem żona do równowagi przyprowadza, owa uciesznа śpiewająca trójka, trzymająca się ściśle za ramiona, która prawdopodobnie dociągnie tylko do najbliższej karczemki! Przy prawdzie typów i dowcipie rysunku, zapomina się o dokładnem wykończeniu całości.

P. Piechowski, pragnął przedstawić *Zielone Świątki* w wiejskiej chacie, lecz praca ta nie ma ani prawdy ani życia i jest bardzo podobną do lalek za oknem w sklepie ustawionych. Typy nie swojskie, postawy wymuszone. Za to *Turczynka* tegoż artysty, zasługuje na pochwalną wzmiankę. Oczy, wyraz leniwej miękkości córy wschodu, koloryt twarzy, ubiór, czyni z niej utwór pewnej wartości estetycznej.

Portretów znaleźliśmy kilka, i pięknych. P. Rodakowskiego, *Portret mężczyzny*, odznacza się wybornym rysunkiem, osobliwie ręki, która stanowi szkopuł dla wielu artystów. P. Maleszewski jakkolwiek celuje w portretach, przecież ręce robi nie naturalne, jak to widzimy, w dwóch jego portretach damskich. Ręka tam jest nadto gładka, niewyraźna, bez cieni żyłek, i naturalnych nierówności.

P. Miller zajmujące studya pięknych włoszek traktował z zamiłowaniem i starannością.

Nie możemy pominąć obrazu p. Brodowskiego *Mohort orzący*. Oto ustęp posługujący do treści obrazu:

...Jar był szeroki, i pięknie obrosły,
Jak uroczysko, niby pełen czaru,
Drzewina kwitła, dąb strzelał wyniosły,
A na dnie jaru jeszcze z nocnej rosy
Trawy nie tknięte — w dali jakieś skały...
. . . .
A niżej nieco zbierały się wody
W stawku nie wielkim, i turkotał młynek;
Dalej pasieka w pośrodce kalinek,
A jeszcze dalej, lasek czeremchowy
A w nim rozpięty namiot Mohortowy.
. . . .
Ognisko z nocy jeszcze nie wygasło,
A przed namiotem wiała chorągiewka —
. . . .
„Na koń," rzekł Książę „tam widzę ktoś orze —
Ba! to sam Mohort" — i puścił się przodem.

Cudny ustęp. Szkoda wielka że nie natchnął artysty do stworzenia czegoś pięknego. Jego *jary* i *Mohort*, nie mają prawie związku z prześlicznym obrazem słów Pola.

Portrety „Cyganki," „Greka handlującego," i „Mężczyzny," pani Dakszyńskiej, odznaczają się rysunkiem, życiem i wykonaniem. Ostatni szczególniej zwabia liczne grono widzów, przeważnie *amatorek* — może dla tego że pani D. jest jedyną artystką-malarką na naszej Wystawie.

Es.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe z paletocikiem bez rękawów. Wolanty przy sukni z ciemno fijołkowego wełnianego rypsu, ozdobione są kokardami z czarnej aksamitnej wstążki. Tiunika oszyta czarną aksamitną plisą, ma suty puf podpięty szeroką aksamitną wstążką, przyszytą z boków przy wcięciu stanu, z tyłu związaną na kokardę z końcami. Aksamitny paltocik bez rękawów, z długiemi z przodu połami, przystrojony jest bogatą dżetową pasmanteryą, takiemiż guzikami i gipiurową koronką, przerabianą dżetem. Fijołkowe rękawy od sukni, mają szerokie czarne aksamitne mankiety, przystrojone odpowiednio do paletocika, który z przodu zapina się kokardami z wstążki rypsowej.

Czarny kapelusz, przystrojony dżetem i fijołkowemi piórami.

Fig. 2. Ubranie spacerowe. Popielate, z przodu na guziki zapinane vêtement, jest z wyrobu wełnianego, zwanego „*Chevron.*" Jedwabna materya tego samego koloru, użyta jest na plisy, z potrójną, z grubym sznurkiem wypustką, z których ułożony jest kołnierz z klapami, kokardy i ubranie do rękawów. Jedwabna spódnica koloru „pochard," wysoko zagarnirowana szerokim wolantem, i kilku na sznurki naciągniętemi bufkami, z wązkim plisowanym nagłówkiem. Do zapinania vêtement służą guziki wyrobione w kształcie rozet z konchy perłowej. Czarny filcowy kapelusz, przystrojony gazowym welonikiem i długiemi, białemi i czarnemi piórami.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, rycina kolorowa.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

O UBIORACH.

Oprócz omonierek z kwiatów, dżetu i naszyć sfinksem (sfinks jest to szmelcowana stal) zdaje się iż więcej nowości na karnawał mieć nie będziemy. Fasony lekkich sukien zachowają kształt, i garnirunek przyboru modeli na jesień z Paryża zwiezionych.

Magazyny pp. Penkali i Thonesa przygotowały dużo haftowanych w bukiety różno-barwnemi pelami tarlatanów, na przybór do gładkich tarlatanów. Połączenie obu tych materyjałów zapowiada lekką nietylko wyrobem lecz i gustem toaletę, przeważnie bowiem mają z nich robić tuniki *en tablier*, których forma pozwala uniknąć tej piętrowej mgły podpięć, tak niefortunnie zwykle od połowy już balu wyglądających. Część fartuszkowa ma zazwyczaj krótki karoczek w tyle, który zręcznie ułożona szarfa uzupełniać winna. Te z czytelniczek naszych, które w *modnych opisach* Tygodnika Mód czerpią wiadomości, i gust im wrodzony kierują wedle naszych rad i uwag niech pamiętać raczą, iż szarfa upięta z pewną metodą w foremną kokardę, zawsze wyglądać musi sztywno i nieestetycznie, gdy przeciwnie związane od niechcenia pukle w oryginalny węzeł, nadadzą całej toalecie pewną cechę swobodnego wdzięku i elegancyi, jaką ma zazwyczaj wykończenie kobiecych strojów w dobrym magazynie.

Na mniejsze wieczorki suknia z jasnej *sicilienne* lub materyjki w kolorowe albo czarne z białem paski, przybrana jednym z żywszych cieni ślicznie wygląda, dodawszy do tego omonierkę à la Margueritte z czarnego dżetu, a nawet jedwabną w kolorze szarfy kokard lub fryzy, a będziemy mieli wykwintną gustem i nowością toaletę na wieczór, koncert lub do teatru.

Dla młodych mężatek bardzo są poszukiwane tuniki w kształcie fartuszka także, dopełnione kaftaniczkiem bez rękawów (*cuirassier*) z tiulu hiszpańskiego, podwójnie złożonego, którego deseń koronkowy na wierzchniej części zasypuje się dżetem albo sfinksem, zwykle wybiera się na tego rodzaju przedmioty tiul w rzut większy wydatniejszy. Kaftaniczek cuirassier niekonieczną całość stanowi z tuniką, można zastąpić go kanzutem z rękawami. Panny Kuhnke po powrocie z Paryża przywiozły dużo zarzutek na staniki w kształcie niedawno noszonych białych wykładanych kołnierzy.

Są one z czarnego tiulu gładkiego lub zasianego dżetem jedne mają niewielkie końce krzyżujące się pod paskiem, inne przerzucają się na piersiach, inne znów jeszcze kończy piękna rypsowa kokarda, a druga wypełnia rozcięcie na plecach. Ładne te zarzutki, bardzo pokryć mogą nie świeży bo rychlej od spódnicy niszczący się stanik. Jeżeli praktyczność tych zarzutek ocenić umiemy, o ileż większą może oddać przysługę damskiej garderobie cała tunika. Zużyta już nieco suknia jedwabna pokrywa się od dołu kilkoraką bufą z tarlatanu w tym samym co materyja kolorze, na to wdziewa się czarna dżetem haftowana tunika z kaftanikiem cuirasse lub kanzutem, do którego dodać można odpowiednio lekkie rękawy, hiszpanskie, całe w drobne bufki lub à la Margueritte zakończone falbaną, wszystko to razem z zniszczonej sukni, wytworzy zupełnie strój świeży i modny.

Panie Wilczyńskie dużo takich tunik przysposobiły na karnawałowe zebrania lecz *la haute nouveauté de la saison* stanowią krezy piórami przybrane. Oprócz tych krez które naturalnie że muszą być drogie, ma pani W. znaczny wybór pysznych krez koronkowych zupełnie nowym i świeżym fasonem, których, koronka Valencienne o pierwszeństwo z zarzuconą już nieco koronką *maligne*, a muślin z iluzyją rywalizują. Skromne bowiem muślinowe garnitury przy tych pysznych koronkach, zdobnych piórami i cenną materyją nic z wdzięku swego nie tracą, a nowością pomysłu oko nęcą także. Są to garniturki z gładkiego muślinu do rąk i szyi. Mocno skręcony rulonik, nie zaszyty rozwija się w praniu i dozwala w palcach skręcić świeżo, a wiemy z doświadczenia że przejrzystość cieniutkiego szwajcarskiego muślinu niebardzo się lęka mydła i wody.

Panie Wilczyńskie bacząc na wygodę wzrastającej klienteli, otworzyły od paru miesięcy drugi magazyn na Czystej ulicy N. 2 i tam pomieściły oprócz gotowych wyrobów w zakres ich zakładu wchodzących, detaliczną sprzedaż wszystkich artykułów elegancyją toalety damskiej tworzącą, a mianowicie wstążek, piór, kwiatów, egret, fasonów pod kapelusze i t. d. kupiona wstążka na szarfę w magazynie upina się bez podniesienia ceny. Szarfy te śliczne przeważnie gładkie rypsowe od ceny 1 rs. 20 kop. za łokieć. Kolory świeże i modne. Są i całe garnitury złożone z szarfy pięknie upiętej i dwóch kokard do włosów i stanika. Cena garnituru takiego od 12 rs. postanowiona. W ślubnych garniturach także pewna modna zmiana zaszła, która może nie jedną pannę młodą pragnącą we wszystkiem pożytku dopatrzeć, ucieszy. Zasłonę ślubną podwójnem przeznaczeniem znosić może. Świeże welony przywiezione z Paryża są haftowane pelą w gwiazdy, palmy lub rzut podobny, i po zdjęciu z głowy, można go za tunikę upiąć, cena niezbyt od gładkiego welonu wyższa, gdyż tylko 7 rs. wynosi. Ślubne wianki w układzie swoim są bardzo dowolne, a fryzjer lub zręczna rączka druchny z tych osobnych bukietów, trenów i wianków prześliczną ozdobę utworzyć mogą. Tak zwane *couronne royale* woskowego kwiatu, pomarańczy są od 6 rs. na żądanie pani. W. upina u niej kupiony welon kwiatami co także ceny niepodnosi. Do wielkich garniturów ślubnych dodają inne białe kwiaty, a wtedy nietylko suknia upięta jest pomarańczowym kwiatem z różami, bzem, kwitnącą mirtą, lecz i wianek odpowiednio jest uwity.

Kwiaty pani Wilczyńskiej z pierwszorzędnych fabryk sprowadzane, wiernie naturę naśladują, i znać w nich umiejętną rękę amatorki, która umiała wybrać nie to co piękne lecz to co najpiękniejsze. Ceny nie tak wysokie, jakby to wykwintny pozór towaru, domyślać się kazał. Niektóre tu przytoczę aby dać wyobrażenie czytelniczkom naszym.

Wielki garnitur do przybrania sukni upięcia tuniki, kilka osobnych bukietów i bukiecików nadto, dla dowolnego użytku w przybraniu głowy, berty, i t. d. z pysznego bluszczu z trawą, bluszczu z owocem, konwalii z cudnemi długiemi jasnemi i ciemniejszemi liściami po 18 rs. również obfity garnitur z narcyzów rumianku, pierwiosnków, fijołków wykwintne barwą i układem od 20 do 25 rs. Śliczny garnitur powoju 12 rs. Przybór ten kwiatów najskromniejszą tarlatanową suknię, w pyszną i bogatą toaletę przemieni, najmłodszą i najlżejszą jej cechę zachowując. Kwiaty są wszystkie zawsze modne, a każdy je wybiera wedle gustu i potrzeby swojej toalety. Fantazyjne jednak ustępują w tym roku może więcej jeszcze niż lat zeszłych przed naturę naśladującemi. Do cienkiej żałoby pokazywała mi pani W. piękny diadem z popielatych połyskujących liści, z długo spadającemi lokami z gron [o srebrnym połysku, ubranka takie są i w innych kolorach, lecz pierwsze tak dystynkcyją pomysłu jak i oryginalną barwą się odznaczało. Przylepiona kartka cenę 8 rs. wskazywała. Pojedyncze bukieciki, gałązki, śliczne róże bez liści od 50 kop. wyższych cen dochodzą. Miło nam bardzo po obejrzeniu tych pysznych zagranicznych okazów zajrzeć było do swojskiej naszej warszawskiej pracowni kwiatów pani Szymkiewiczowej przy ulicy Niecałej. Piękne bowiem i nadzwyczaj staranne wykonanie kwiatów nic do życzenia niepozostawiało. Pani Szymkiewiczowa odbywszy studja w swoim fachu w Paryżu, doskonali się jeszcze na wzorach które jej natura dostarcza, i ciągle w tej kształcącej się pracy nieustaje. Drugą pracownią którą także pragnęlibyśmy polecić czytelniczkom naszym jest świeżo otworzona fabryka kwiatów pani Henryki Daniłowskiej Nowy-Świat N. 72 a śmiało ją polecić możemy, gdyż te kwiaty które nam pokazywano tak co do wykończenia jak i układu bukietów i gierland, krytykę znawców wytrzymać mogą i chlubnie świadczą o talencie i guście właścicielki.



N. 1—5. Ubrania domowe.

N. 1. Bluzka dla małej dziewczynki. N. 3. Domowe ubranie z fartuszkiem. N. 4. Ubranie dla panienki. N. 5. Ubranie małego dziecka. N. 2. Ubranie dla chłopczyka.

Opis do N. 1.

N. 1. Bluzka dla małej dziewczynki.

Bluzkowe sukienki dla dzieci ciągle są używane, jako najpraktyczniejsze i najdogodniejsze, krój ich powszechnie jest znany i nieraz już w ubiegłych latach, był podawany w Tygodniku. Do sukienek gładkich, wełnianych, plisy mogą być w kratę, do sukienek w kratę gładkie, tego samego lub odmiennego koloru. Sukienki z białej alpagi albo z piki do strojniejszego ubrania, oszywają się białą koronką, przyszytą na kolorowem podłożeniu.

N. 2. Ubranie dla chłopczyka.

Majtki, bluzka i rzęsisto fałdowana spódniczka, są z sukna szafirowego. Krótkie majtki wszyte u dołu w pasek i garnirowane plisowaną falbanką; gładką bluzkę wszywa się w pasek i zapina z przodu na guziki. Spódniczkę 345 cent. szeroką, a 24 cent. długą, układa się w fałdy 8 cent. szerokie zaprasowane wzdłuż, i wszywa w pasek.

N. 3. Ubranie domowe z fartuszkiem, dla osoby niemłodej.

Przy kolorowej wełnianej sukni, szeroka plisowana falbana, przedzielana jest w odstępie 20-tu cent. szeroką kontrafałdą. Nad falbaną naszyta poczwórna plisa rypsowa w górze podwójnym atłasowym rulonikiem zakończona. Taką samą plisą oszyta jest pelerynka. Czarny jedwabny fartuszek garnirowany falbanką i pliskami; czepeczek tiulowy, ubrany koronką i kolorową wstążką.

N. 4. Ubranie dla panienki.

Ciemnopiaskowa wełniana sukienka, oprócz plisowanego wolantu, oszyta jest skośną, mało nadmarszczoną falbanką i dwiema dość szerokiemi pliskami, z brązowego aksamitu. Takież plisy stanowią garnirunek tuniki i stanika z baskiną, zapinanego z przodu na guziczki. Szarfa i kokardy przy rękawach z tego co suknia materajału, z wypustką i węzłami aksamitnemi.

N. 5. Ubranie dla dziecka.

Kolorowa wełniana sukienka, z krótkiemi bufowanemi rękawkami, ma spódniczkę naszytą dwa razy wązką pliską aksamitną. Długi, biały batystowy fartuszek ze stanikiem i rękawkami, ozdobiony jest nad szerokim obrębem i przy



N. 12. Szermierz. Na stronie pierwszej arkusza z krojami podaliśmy dwóch walczących szermierzy. Krój w dodatku N. XII, Figura 33—33-a.

kareczku, wstawką haftowaną lub koronkową, a w pasie podszyty listewką i przyciągnięty na tasiemkę.

N. 6 i 7. Opisy na osobnym dodatku.

N. 8. Kapturek jedwabny. Krój N. VI, Fig. 17.

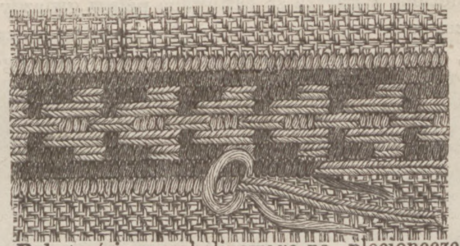
Krająć główkę kaptura, składa się ryps skośnie przez środek, daje się pod spód czarny sztywny muślin i fular i zakłada fałdki oznaczone krzyżykami i punktami na Fig. 17. Na rondko marszczone, podszyte blado lila rypsem, potrzeba skośnego kawałka, mającego 100 cent. długości a 10 szerokości. Pomiędzy wierzch a lila podszewkę, wszywa się 7 cienkich drucików, na które przymarszcza się rondko; z tych 4 przednie mają po 66 cent. długości a 3 przy główce po 44 centymetry. Następnie główkę przyszywa się do rondka, a przyszycie przykrywa w sposób na ryc. 8 wskazany, skośnym, 8 cent. szerokim kawałkiem czarnej materyi z podszewką lila, która na kształt pliski wywinięta jest na wierzch. W takiż sposób podszywa się 9 cent. szeroką materyją na kokardy przypięte z boku, z pod których spuszczone jest czarne pióro. Główkę z tyłu zaszywa się w 4-ry kontrafałdy do 24—26 cent. objętości i dodaje karczek z 2 cent. szerokim nagłówkiem, podszyty materyją lila, ułożony w kontrafałdy i skośnie ścięty w końcach, mający 9 cent. szerokości a 86 cent. długości. Kokarda z tyłu i końce do wiązania mają 7 cent. szerokości. Rondko podgarnirowane jest dwa razy białym tiulem, oszytym białą i czarną jedwabną koroneczką.



N. 6. Okrągła podstawka. Ósma część deseniu w N. 1. Opis w dodatku.



N. 7. Pudełko na kołnierzyki. Haft na płótnie. Deseń N. 15 Opis w dodatku.



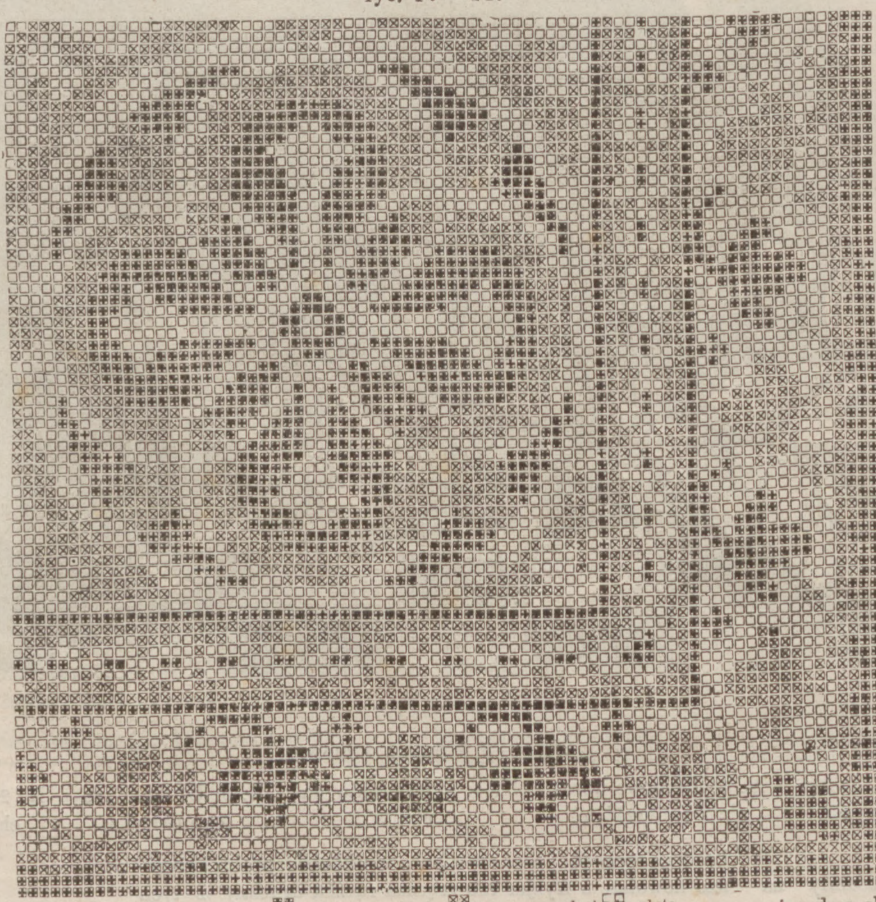
N. 10. Robota ściegu gobelinowego na plecioneczce złotej do ściegu N. 9.



N. 8. Kapturek dla osób starszych. Krój w dodatku N. VI, Fig. 17.



N. 9. Taboret ozdobiony haftem gobelinowym. Patrz ryc. 10—11.



N. 11. Czwarta część deseniu na taboret ryc. 9.

N. 9—11. Taboret z wyszywanem przykryciem. Ścieg gobelinowy na kanwie, z podkładaniem plecioneczki złotej.

Materyjał: kanwa niciana średniej grubości, filozela blado różowa i blado niebieska, złota plecioneczka.



N. 13. Tancerka.

Pozłacany taboret pokryty blado-niebieskim bufowanym atłasem, ozdobiony jest z wierzchu zarzuconem, kwadratowem przykryciem, wyszytem filozelą na złotej plecionce, i oszytem w koło grubym sznurem z kwastami. Na ryc. 11 podajemy 1/4 część deseniu, który odrobiony być może dwoma kolorami filozeli na złotej plecionce, albo ściegiem krzyżowym, 3-ma kolorami włóczki. Na ryc. 10 podajemy próbkę roboty, którą wykonywa się rzędami, pół ściegiem, na jednym krzyżyku, zawsze w jedną stronę dając dwa skośne, podłużne ściegi.

N. 12—13. Marjonetki z korka i tektury. Tancerka i szermierz.

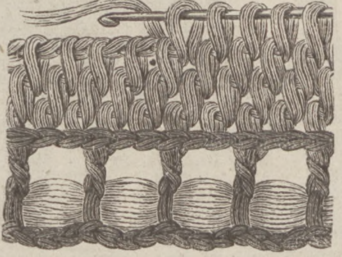
Nie kosztowną a jednak bardzo zajmującą dla dzieci zabawką, są marjonetki wykrawane z korka i tektury, które za pociągnięciem rozmaicie przewleczonych sznureczków, wykonywają różne śmieszne poruszenia. Mocują się jak na ryc. 1 i 5 lub tańczą i zręczne przybierają pozy jak na ryc. 13.



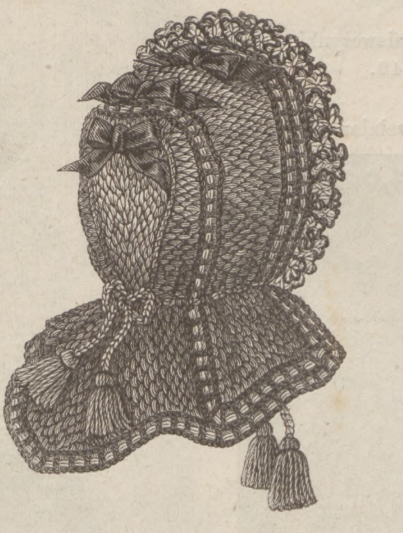
N. 14. Kapturek dla dziewczynki. Krój w dodatku N. IX, Fig. 30.



N. 15. Szydełkowy kaftanik dla dziewczynki. Krój w dodatku N. VIII, Fig. 23—27.



N. 17. Tło i szlaczek robotą szydełkową do ryc. 16.

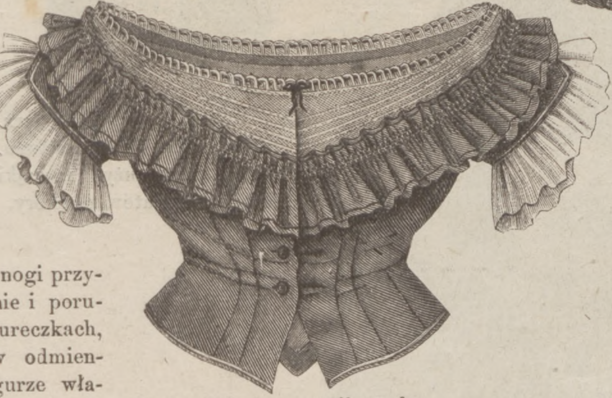


N. 16. Kapturek dla dziewczynki. Robota szydełkowa patrz ryc. 17. Krój w dodatku N. IX, Fig. 28—29.

N. 12. Tancerka.

Materyjał: Gotowa tekturowa figurka, albo niezbyt gruba tektura z którejby ją wykroić można; kolorowy tarlatan, wstążeczka, farby wodne, sznureczek, obrazek i t. p.

Tancerka zarówno jak szermierz jest z tektury, ma ręce, łydki i nogi przykrojone oddzielnie i poruszane na sznureczkach, które jednak w odmiennych, każdej figurze właściwych przeprowadza się kierunkach. Jeżeli gotowej tancerki nie dobierzemy, potrzeba ją zrobić. Do figurki mającej 40 cent. wysokości dobiera się ładną malowaną główkę, jakich dostać można w handlach rycin i obrazków, wycina tak długo jak zachodzi wykrój stanika i nakleja na tekturze, tył zaś głowy musi być domalowany. Ręce są do korpusu ruchomie lecz nie zbyt luźno na druciku przyczepione, nogi wraz z łydkami także na drucikach, lecz zupełnie luźno. Pierwszą spódniczkę sięgającą do kolan robi się z białej angielskiej bibułki, na nią kładzie się 3 spódniczki z różowego tarlatanu,, mające 80—90 cent. szerokości, z których zwierzchnią naszywa się złotą plecionką. Staniczek z bawetem i bertą robi się z różowej materyi, ręce powinny być na kolor ciała pomalowane; naszyjnik i bransoletki robią się ze złotych perełek albo blaszek.



N. 18. Wycięty stanik z baskiną. Krój w dodatku N. II, Fig. 8—11.



N. 19. Wycięty stanik z bawetem. Krój w dodatku N. III, Fig. 12—14.

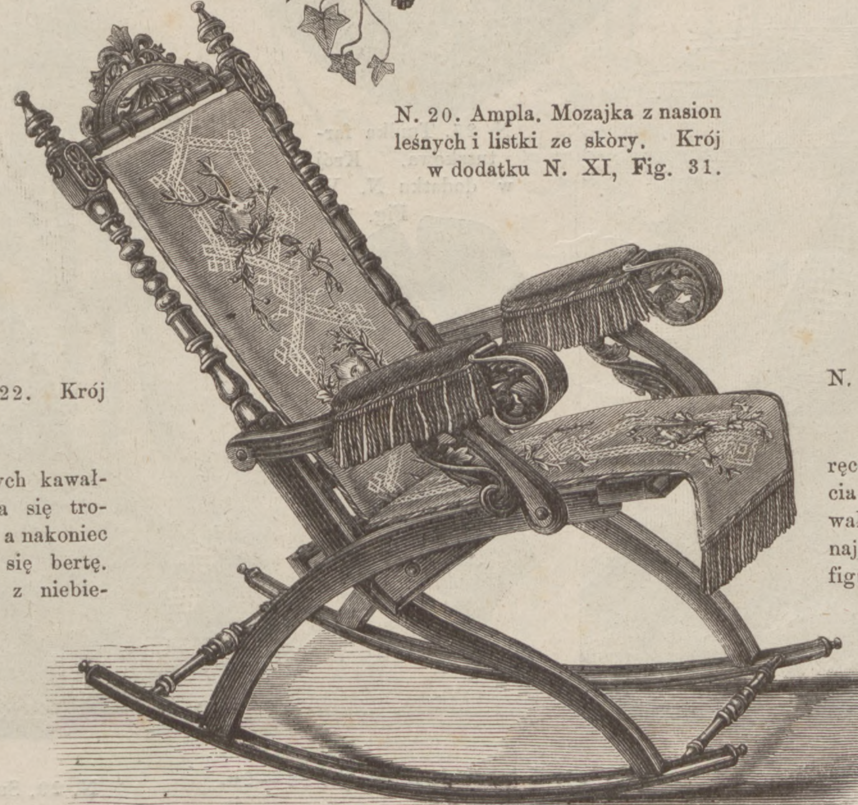


N. 20. Ampla. Mozajka z nasion leśnych i listki ze skóry. Krój w dodatku N. XI, Fig. 31.



N. 21. Sukienka dla dzieci. Przód do ryc. 22. Krój w dodatku N. VII, Fig. 18—22.

Stanik składa się z dwóch oddzielnie wyciętych kawałków tektury, na których w górze podkłada się trochę waty przykleja stosownie ułożona materyja, a nakoniec obie połówki skleja ze sobą i dopiero układa się bertę. Nogi są także malowane, a trzewiczki naklejone z niebieskiej materyi. Gdy już laleczka jest ubrana, przeciąga się od pachy do pachy przez tekturę wierzchem pleców, mocny a cienki 300 cent. długi sznureczek, którego końce z dwóch stron spuszczone, służą do wprawiania w ruch tancerki. Do tego przez plecy, pod stanikiem przechodzącego sznureczka, doprowadzone są nitki od rąk i nóg tak ażeby za poruszeniem jednego lub drugiego końca poruszała się, jedna albo druga ręka lub noga.



N. 23. Fotel ozdobiony haftem z aplikacyją sukna. Deseń N. 4. Opis w dodatku.

N. 13. Szermierz.

Materyjał: dwa kawałki korka jednakowej wagi, mające 8 cent. długości, a 3 cent. grubości, biała cienka tektura, czarne wąziutkie paski futra, farby wodne, skrawki kortu i różnych materyi, szpilki.

Tułów i głowę każdego szermierza, robi się z jednego kawałka korka, ta ostatnia zajmuje $1/3$ jego całości: Twarz maluje się wodnemi farbami, na nos odkrawa się od dołu z korka klinik $1\,1/4$ cent. długi, u dołu $1/2$ cent. szeroki, w górze spiczasto zakończony, i takowy nakleja się gummą w miejscu nosa.

Okrawki czarnego futra przyklejone gumą arabską albo małemi szpileczkami przypięte do korka, zastępują włosy i wąsy, brwi maluje się bardzo czarne, co wszystko razem nadaje małej figurce postać wojowniczą. Koszula z białego perkalu, majtki z kawałka cienkiego kortu, albo innej ciemnej wełnianej tkaniny czapka i pas z materyi jasnej kolorowej wszystko do korka szpileczkami przypięte stanowi ubranie, które dla każdego szermierza robi się w odmiennych kolorach. Z tektury przykrawa się dla każdej figurki dwie nogi podług Fig. 33, na tych buty maluje się czarno, pończochy biało lub kolorowo, a górną część takim kolorem jak majtki, z oznaczeniem guzików i dziurek czarno.

W miejscu na górnej części małem kółkiem na Fig. 33 oznaczonem, przypina się nogę szpilką do korka. Cztery ręce podług Fig. 32 przykrojone, aż powyżej łokcia malują się kolorem ciała, wyżej pokrywają kawałkiem perkalu naśladującym rękawy, i przypinają szpilką do korka w miejscu ramion. Obiedwie figurki są ze sobą złączone za ręce, za pomocą sznureczka przeprowadzonego przez miejsca kółkiem na zgięciu ręki oznaczone; sznureczek ten służący do wprawiania w ruch marjonetek, ma 280—300 centy. długości. Jak to widać na ryc. 1 i 5 jeden koniec przyciska się ręką albo przybija lekko gwoździkiem do podłogi, około 120 centy. dalej trzeba sznureczek w spory węzeł zawiązać ażeby zapaśnicy niemogli się zbyt daleko po nim ślizgać; dru-



N. 22. Sukienka dla dziecka od lat 3. Plecy do ryc. 21.

gi koniec podniesiony skośnie w górę trzeba z wolna w tę i ową stronę pociągać, a tym sposobem nadaje się zapaśnikom rozmaite ruchy i pozy, naśladujące walkę śmiertelną.

N. 14. Kapturek dla dziewczynki. Krój N. X. Fig. 40.

Kapturek z białego, wełnianego kiprowanego, materyjału, szyje się bez podszewki, brzegi dzierga albo tylko wycina się w ząbki i oszywa tuż przy brzegu dwa razy, cienkim kolorowym sznureczkiem. Z przodu od gwiazdki do dwukropka, zaszywa się w niewielkim odstępie od ząbków 5 kontrafałdek, skracających objętość przodu do 50 cent. nad fałdkami naszywa się w kontrafałdy ułożoną i w górę podniesioną riuszę, stanowiącą garnirunek, na którą potrzeba kawałka 55 cent. długiego, w środku 7, z brzegów 2 cent. szerokiego. Ze wstążki kolorowej 2 cent. szerokiej daje się końce do wiązania, kokardę na fałdach z tyłu, sutą kokardę w środku riuszy i rulonik przykrywający jej naszycie.

(dok. nast.).



N. 24. Torebka na buciki Deseń i opis w dodatku N. 12.



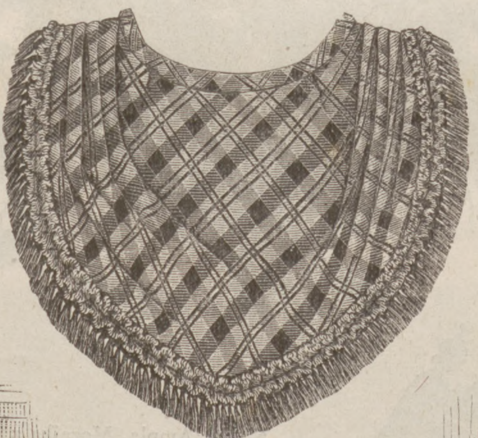
N. 26. Suknia powłóczysta z fałdami z pół-tuniką. Krój sukni w dodatku N. IV, Fig. 15. Patrz ryc. 27.



N. 25. Wiszący kalendarz. Haft z podkładaniem kretonu. Można także użyć mozajki leśnej lub kwiatów ze skóry.



N. 28. Suknia ze stanikiem z baskiną i tiuniką. Patrz ryc. 29. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—7-a.



N. 27. Tunika fartuszkowa. Krój w dodatku N. V, Fig. 16.



N. 30. Kokarda do sukni ryc. 28—29.



N. 29. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką. Plecy do ryc. 28.

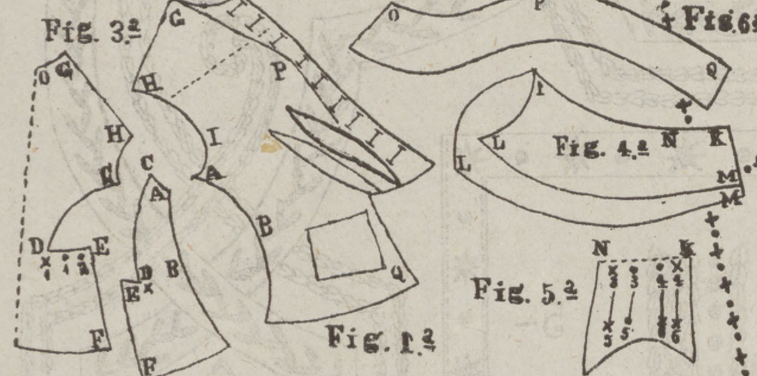
TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1875 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 1 i 2

N. I. Stanik z baskiną i tuniką. Ryc. 28 i 29 w N. 1.

Miara w połowie górnej objętości stanika 53, w pasie 33 centymetrów.
Materyjału 68 cent. szerokiego potrzeba 8 metrów.
Fig. 1. Przód (A, B, G, H, I, P, Q jedno założenie)
Fig. 2. Boczek (A, B, C, D, E, F, ╳ 2)
Fig. 3. Połowa pleców (C, D, E, F, G, H, O ╳ 1 . 1—. 2)



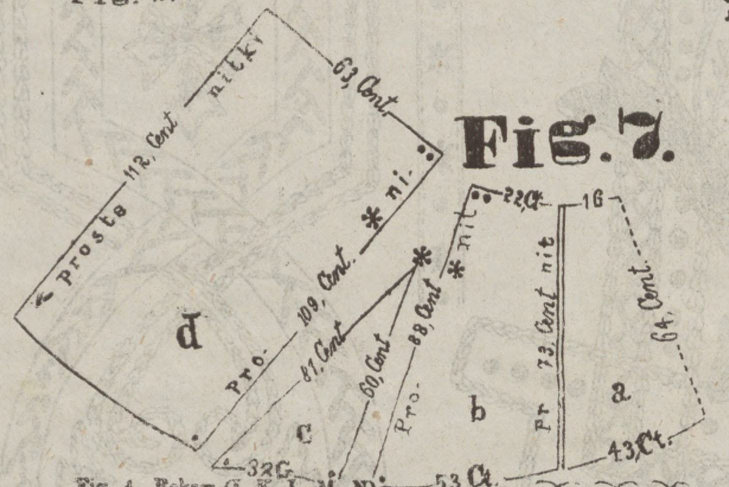


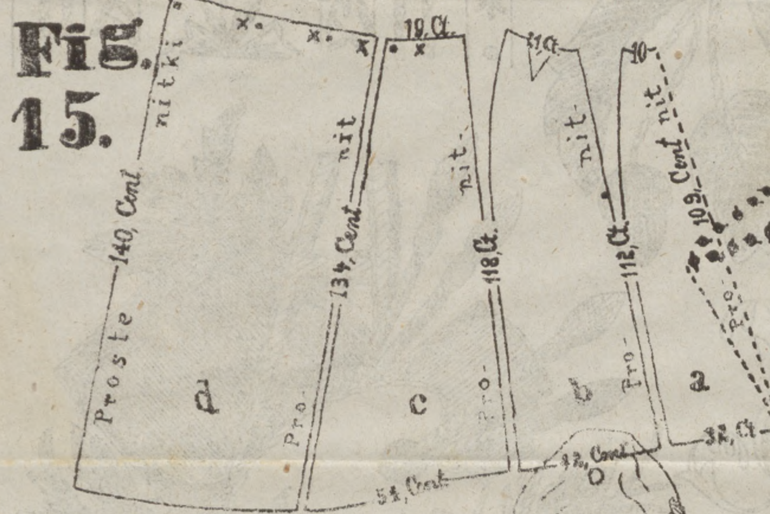
Fig. 4. Rękaw (I, K, L, M, N)
Fig. 5. Połowa mankieta (K, N, ╳ 3 . 3—╳ 6 . 6)
Fig. 6. Połowa kołnierza (O, P, Q)
Fig. 1-a—3-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części stanika.
Fig. 7. Zmniejszony rysunek wszystkich części tuniki z podaniem miary długości i szerokości.

N. II. Stanik wycięty z baskiną, Ryc. 18 w N. 1 Tygodnika.

Miara połowy górnej objętości 51, w pasie 31 centymetrów.
Fig. 8. Przód (R, S, X, Y, Z)
Fig. 9. Boczek (R, S, T, U, V, W, ╳ 9)
Fig. 10. Połowa pleców (T, U, V, W, X, Y, ╳ 7 . 7—. 9)
Fig. 11. Rękaw (Z, *)

N. III. Stanik wycięty z bawetem. Ryc. 19 w N. 1.

Miara połowy górnej objętości 53, w pasie 31 centymetrów.



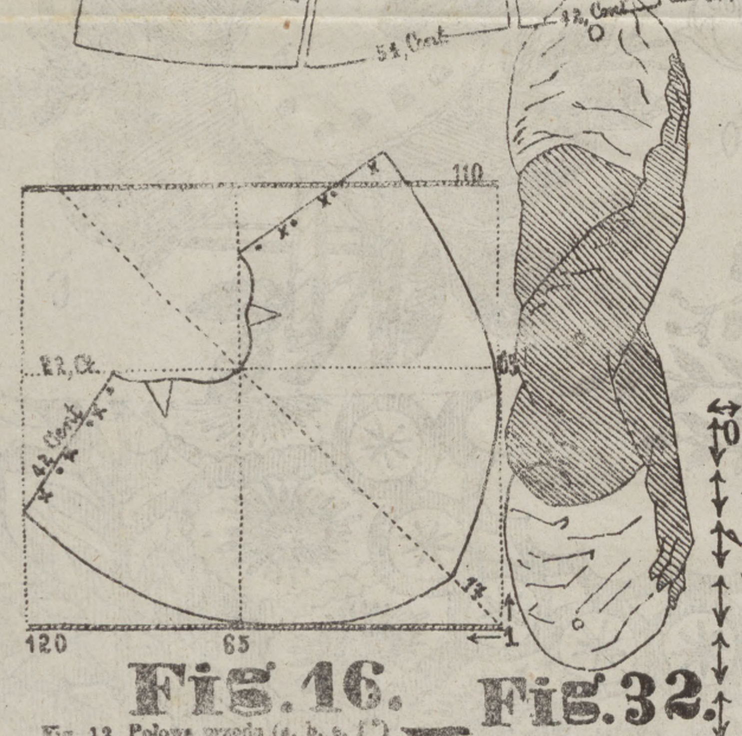


Fig. 12. Połowa przodu (a, b, e, f*)
Fig. 13. Boczek (a, b, c, d)
Fig. 14. Piecy (c, d, e, f)

N. IV. Suknia z fałdowanym trenem. Ryc. 26 w N. 1.

Materyjału 65 cent. szerokiego potrzeba 7 metrów, 67 cent. na spódnicę.
Fig. 15. Zmniejszony rysunek części spódnicy z podaniem miary długości i szerokości.

N. V. Tunika fartuszkowa. Ryc. 27 w N. 1.

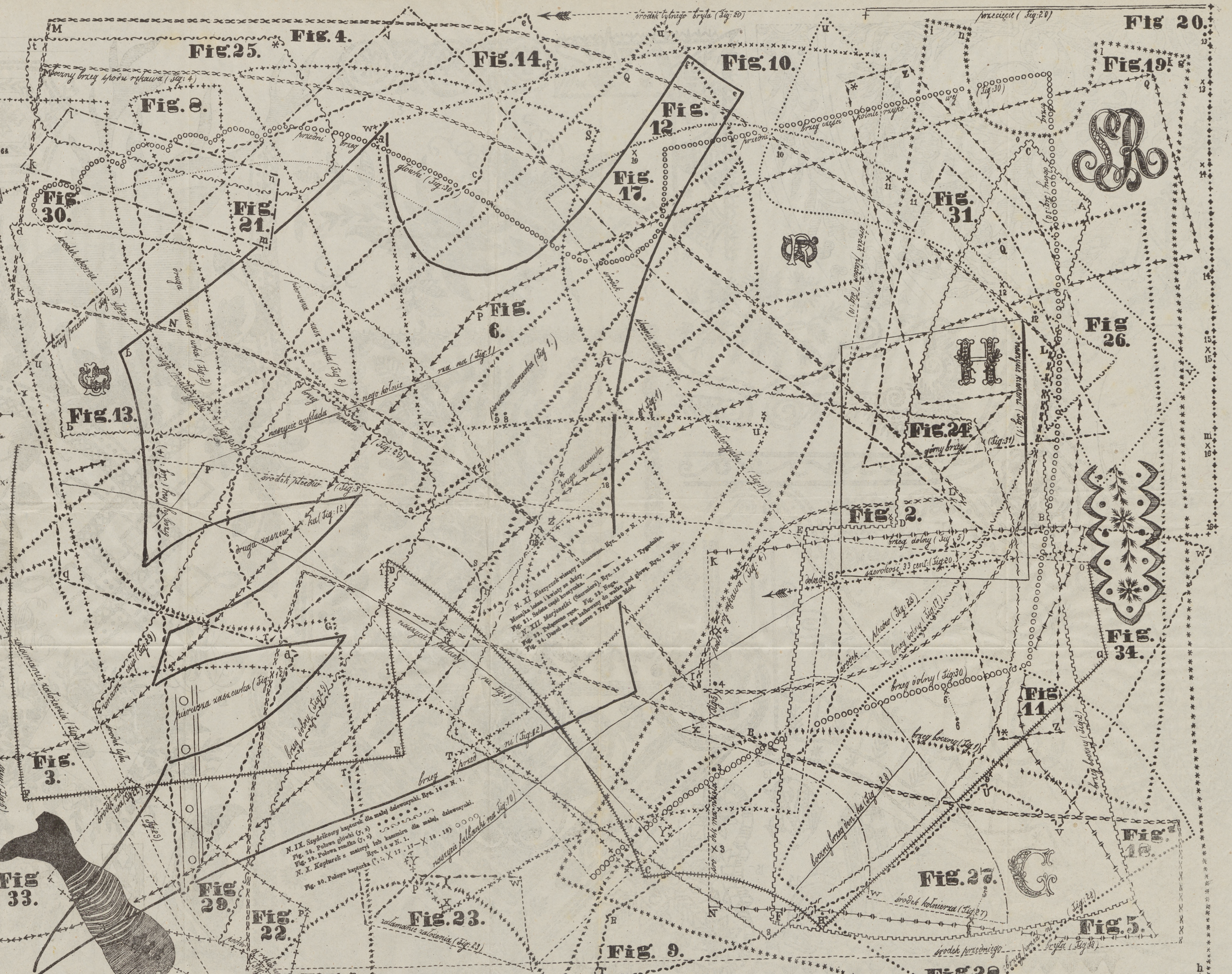
Materyjału 110 cent. szerokiego potrzeba na tunikę bez obłożenia 1 metr 20 centymetrów.
Fig. 16. Wzór kroju tuniki z podaniem miary.

N. VI. Kapturek dla osób niemłodych. Ryc. 8 w N. 1.

Fig. 17. Połowa główki do kaptura ╳ 10 . 10—╳ 12 . 12

N. VII. Sukienka dla dziecka do lat 3. Ryc. 21—22 w N. 1.

Fig. 18. Połowa przedniego bryta (g, h)
Fig. 19. Bryt boczny (g, h, i, k, l, n, o)
Fig. 20. Połowa tylnego bryta (i, m, +, ╳ 13 . 13—16 . 16)
Fig. 21. Ramiączko (k, l, m, n)
Fig. 22. Rękaw (o, p)



N. VIII. Kaftanik szydełkowy z ranwersem, dla małej dziewczynki. Ryc. 15 w N. 1 Tygodnika.

Fig. 23. Połowa kaftanika (q, r, s; u, v, w, x, jedno założenie)
Fig. 24. Rękaw (s, t,)
Fig. 25. Wyłożenie do rękawa (t, *)
Fig. 26. Wyłożenie do kaftanika (u, v)
Fig. 27. Połowa kołnierza (w, x)

N. IX. Szydełkowy kapturek dla małej dziewczynki. Ryc. 16 w N. 1.

Fig. 28. Połowa główki (y, z)
Fig. 29. Połowa rondka (y, z)

N. X. Kapturek z materyi lub kaszmiru dla małej dziewczynki. Ryc. 14 w N. 1.

Fig. 30. Połowa kapturka (°, :, ╳ 17 . 17—╳ 18 . 18)

N. XI Koszyczek wiszący z bluszczem. Ryc. 20 w N. 1.

Mozajka leśna i kwiaty ze skóry.
Fig. 31. Szósta część koszyczka.

N. XII. Marjonetki (Szermierz). Ryc. 13 w N. 1 Tygodnika.

Fig. 33. Połączone ręce. Fig. 33. Noga.
Fig. 34. Dasek na pas haftowany do wałka pod głowę. Ryc. 1 w Numerze 2 Tygodnika Mód.


1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20